Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 13 września 1936 r. Nr. 37

W CISZY POŁUDNIA...

W ciszy południa
drzemią drzewa,
drzemie cały nadbrzeżny las —

tylko w mej duszy
coś w głos śpiewa,
chłonę urok jesiennych kras.

Niebo wkrąg kwitnie
obłokami,
uśmiecha się złotem słońca —

wokół mnie gwarzą
fale z falami
baśń o szczęściu bez końca.

Zda się, że słońce
za promienie,
rozsiane wkrąg, uchwycę —

serce drży pełnią
upojenia,
cudem jest świat, cudem życie!

Danuta Wyrybkowska.



10)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

Mar - Molli wraca do świata

Nazajutrz O'Donnel zawołał do siebie Senegalczyka, ale tym razem nie na masaż.

— O czem ty myślisz, Donkunda?

— A co takiego, panie? — zapytał wielkolud, wybałuszając oczy.

— Nie udawaj niewinnego! Czy rozumiesz całą powagę tego, co chciałeś zrobić?! Przestępca, zabójca i nic więcej?! Ty, Donkunda, wzorowy żołnierz!... Ale twój wojenny krzyż nie mógłby uratować ciebie od katorgi albo gilotyny. A ja, jakbym stracił wiernego sługę... Nieszczęsny, chciałeś rzucić pana Gafaniego do morza!...

— Ja nie chciała rzucić go do woda...

— Jakto „nie chciała"? Pan Benau wszystko widział.

— Wszystko widzi tylko On, Bóg! — pouczająco rzekł Donkunda, wskazując palcem na niebo. Palec w połowie drogi napotkał sufit kabiny. — Musze Benau niczego nie widziała... Człowiek nigdy nic nie widziała!

O'Donnel zastanowił się: Jednak ten półdzikus myśli czasami, jak głęboki filozof. Czy ludzie, rzeczywiście nie są ślepi i nieświadomi?...

— Więc nie chciałeś zabić pana Benau?

— Nie, ja chciałam go trochę przestraszyć.

— W takim razie — ostro przerwał O'Donnel — nie waż się więcej go straszyć! Nie zbliżaj się do niego! Gdybyś się zbliżył do niego, on ciebie zastrzeli!

— Donkunda nie boi się...

— Ale ja się boję za Donkundę! Jesteś mi potrzebny. Potrzebny jest mi również pan Gafani; Zrozumiałeś? Dość! Możesz odejść... I żebym więcej o tobie nie słyszał... Marsz! I poproś do mnie pana Benau...

Po chwili O'Donnel naradzał się z reżyserem.

— Drogi Benau, zapomniałem panu powiedzieć, musimy trochę zabawić tych nierobów - miljonerów z ich rodzinami. Obiecałem im to, pod warunkiem, że za każde miejsce zapłacą po 100 dolarów, na rzecz francuskich inwalidów... Co pan o tem myśli?

— Wspaniale!...

— A co pokażemy tej zblazowanej publiczności?

— Można będzie im pokazać kilka momentów ze scen, nakręconych w Mursji... Wyczyny Chana Mugańskiego ich zachwycą! To będzie wspaniała reklama dla filmu. Jestem przekonany, że Gonzales i Viljegas ofiarują nam swoje kapitały. Pierwszy, naturalnie dla złotowłosego wampa, a drugi — dla pięknych oczu Mar - Molli. Mam wrażenie, że przypływ nowych pieniędzy będzie przez pana bardzo mile widziany...

— Rzecz jasna... Dalej!...

— Możemy też dać taniec mimiczny p.t. „Byk i matador," w wykonaniu Savedry i złotowłosego wampa. Ten numer będzie miał powodzenie.

— Wspaniale... A dalej... A Mar - Molli?...

— Jej obecność w sali będzie grubo korzystniejsza dla naszych inwalidów, aniżeli na scenie. Urządzimy dla niej kiosk, gdzie będzie sprzedawała szampan. Już teraz widzę stosy banknotów na jej tacy. Całe morze szampana będzie wypite!...

— Brawo, Benau!... Dziś jest pan doprawdy genjalny.

— Tylko dziś?... To nie bardzo pochlebne...

— Nie podoba się panu mój komplement. Dalej!

— Mam wrażenie, że to w zupełności wystarczy. Seans potrwa 30 minut...

— A ja znajduję, że atrakcyj jest stanowczo zamało... A czy nie wypuścić Donkundy?

— W charakterze kogo? Dusiciela tego biedaka Gafaniego?

— Żarty na bok... Donkunda pokaże swoją siłę...

— Brawo, dyrektorze!... Zwracam panu pański komplement. Pan jest genjalny dzisiaj!

— Widzi pan, ja się nie obrażam, tylko dziękuję. Dla Donkundy program ułożymy później. Mamy czas... Wszystko to urządzimy pod koniec podróży. Do Marsylji mamy jeszcze 10 dni... Niestety, wrócimy do Paryża bez Chana Mugańskiego... Nie mogę zapomnieć o nim... To los! Wyrwaliśmy go ze szponów śmierci i pocóż? Pocóż!? Żeby rzucić go w objęcia niegodnej ulicznicy!...

— A czy pan jest przekonany, że tak było? Wierzy pan w tę całą historję?

— Oh, drogobym zapłacił, żeby tylko pozbyć się tej zmory! — z westchnieniem rzekł O'Donnel.

Zamach Donkunda był dla trupy tragi-komicznym epizodem, który jeszcze raz podreślił jego nieopisaną, instynktowną nienawiść do Gafaniego.

Wybryk Senegalczyka, tak prymitywnego i podziecinnemu naiwnego, zrobił głębokie wrażenie na Mar - Molli... Niewyraźne podejrzenia opanowały ją, nie dając jej spokoju...

Zawołała Donkundę do swojej kabiny. Prócz nich, nikogo więcej nie było, gdyż Manija d'Or była zajęta na pokładzie flirtem z Gonzalesem.

— Proszę usiąść, Donkunda...

Senegalczyk był zdumiony uprzejmem zaproszeniem.

Urządzenie kabiny wydawało mu się tak delikatnem, że bał się połamać krzesła.

— Powiedzcie Donkunda, dlaczego chcieliście wrzucić do morza pana Gafaniego?

On chciał odpowiedzieć to samo, co odpowiedział O'Donnelowi, ale szczere i czyste spojrzenie Mar-Molli rozbroiło go. Donkunda nie mógł skłamać przed nią.

Po chwilowem milczeniu on cicho zapytał:

— Madame Mar - Molli nikomu nie powiedzieć? Madame dobra!

— Mój przyjacielu, to pozostanie między nami, przyrzekam...

— Więc, więc... Donkunda chciała oddać musze Gafani do niedobra ryba... Musze Gafani nie wart innego...

— Dlaczegoż musze Gafani nie wart innego? — jak u dziecka dopytywała się Mar - Molli.

Donkunda poskrobał się w głowę, pokrytą gęstą, twardą sierścią i rzekł z pewnym wysiłkiem myślowym:

— Dlatego... dlatego, że musze Gafani zła... Ona nie lubi Ammałat - Chan... A Donkunda lubi... I jeżeli Chan więcej niema — winien musze Gafani...

— Donkunda, posłuchajcie mnie uważnie. Czy jesteście przekonani, czy wiecie, że pan Gafani zrobił krzywdę Ammałatowi? Jeśli tak, w imię Boga, do którego razem z Ammałatem zanosiliście modły tam na pustyni, powiedzcie prawdę!

— Madame, Donkunda nic nie wie. Donkunda — ciemna. Tutaj ona nic nie ma! — Senegalczyk wskazał na swoje czoło, — ale tutaj u niego jest trochę! — dotknął serca. — Ta mnie powiedziała, że zła Gafani zrobiła bardzo niedobrze Ammałatowi i za to Donkunda chciała zrobić niedobrze Gafani.

Więcej Senegalczyk nic nie powiedział, ale i tego było dla niego zadużo. Nie wiadomo, czy przez całe swoje życie był kiedy bardziej rozmowny.

To krótkie zeznanie Donkundy, wyciśnięte z takim wysiłkiem, wzmacniało, rzucone przez Maniję d'Or podejrzenie, że Gafani brał udział w zniknięciu, a może i śmierci Ammałata.

Instynkt Donkundy, żyjącego sercem nie głową, wzbudzał zaufanie. On powodował się nie rozumem, a jakiemś dziwnem uczuciem, które spotyka się

u zwierząt, wyrażających silny niepokój na kilka dni przed trzęsieniem ziemi.

Mar - Molli chciała już się zapytać: „Czy żyje Ammalat, zdaniem Donkundy, czy już go niema na świecie?“ Ale strach przed straszną odpowiedzią zatrzymał ją.

Postanowiła posłuchać rady Maniji: nie unikać towarzystwa i pokonawszy wstręt do Gafaniego, nie tylko nie odpychać go, ale przeciwnie zacząć z nim grę półobietnic, półnadziei. Jeśli wpadnie w nastawione sidła i zdradzi się — biada mu!

Mar - Molli wyszła w świat ze swojej klasztornej kabiny - celi. Tańczyła, piła w barze, siedząc na wysokim krześle .Pływała w kwadratowym basenie, ubrana w trykot kąpielowy. Obok niej więdnął bukiet międzynarodowych piękności. Jedna z nich, Lilian Smith, Amerykanka z Chicago, prześladowała Mar - Molli.

Ta Lilian od rana wlewała w siebie coctail za coctailem i wąchała kokainę. Chuda, z prawidłowemi rysami twarzy, niedawno jeszcze była bardzo piękna. Alkohol, narkotyki i rozwiązłość niszczyły jej piękność i zdrowie z godziny na godzinę. Powiększone źrenice, błędne spojrzenie, słodkawo-podniecające perfumy, dziesiątki bransolet na rękach i nogach...

Grubo i jaskrawo malowane usta nie przebierały w wyrażeniach.

Ale to wszystko i niepoczytalne wybryki były przebaczane dla jej miljonów, które topniały z taką szybkością, jak i ona sama.

Amerykanka nie dawała spokoju Mar-Molli.

Przewracając zapalone oczy i rozdymając nozdrza, starała się „dotknąć“ artystki.

— Proszę mi dać swoje ciało! Proszę mi dać jego zapach! Chcę go wchłaniać, wchłaniać bez końca. Ja będę panią całowała do szału, całą... Będę pani służebną, niewolnicą... tylko proszę mi dać! Gotową jestem kupić noc nie tylko za cenę miljona, ale za cenę życia...

Młodociany Viljegas, który stał się nieodłącznym cieniem Mar-Molli, literalnie własną piersią osłaniał ją przed temi gwałtownemi atakami.

— Mar-Molli, proszę rozkazać, a zabiję tę zwarjowaną erotomankę!..

— Niech pan będzie nadal barjerą ochronną między nią a mną. W zupełności wystarczy! — żartem zbywała Mar-Molli południowo-amerykańską zazdrość Viljegasa.

A Gafani znowu był zazdrosny o tego Viljegasa. Ale to wewnętrznie. W oczy zaś zapewniał młodego człowieka:

— Ot, widzisz, do czego tylko jestem zdolny dla twojej przyjaźni!.. To jest mój wpływ, że ona czas spędza z tobą. Tylko Bogu wiadomo, ile starań musiałem włożyć, by przekonać ją. Pamiętaj i oceń to!

— Pamiętam i ocenię! — obiecywał Viljegas, który w oszołomieniu miłosnem gotów był ozłocić swojego „dobroczyńcę“.

Z drugiej zaś strony zazdrosny Gafani z przyjemnością konstatował:

Prawdopodobnie nie wielką była ta miłość, skoro w dwa tygodnie po zniknięciu Chana — Barbasan pewno go już rozstrzelał — ona bałamuci bogatego chłopaka, pływa z nim w basenie, gdzie wystawia swoje półnagie ciało na pokaz dziesiątkom mężczyzn, którzy ją doreszty rozbierają oczyma. Jeśli tak, tem lepiej dla mnie. Nie traćmy nadziei i bądźmy przedsiębiorczy...

Pewnego razu na pokładzie Gafaniemu nadarzyła się sposobność: Mar-Molli, wysławszy Viljegasa do kabiny po torebkę, była sama. Gafani podszedł do niej z wymówką:

— Pani i tu kontynuuje wobec mnie politykę, rozpoczętą w obozie!

— Jaką?

— Politykę „unikania“.

— Wcale nie unikam pana, Gafani. Jak pan doszedł do takiego wniosku?! Ot i teraz chętnie z panem porozmawiam. Z pana interesujący rozmówca...

— Hm... Dawniej pani tego nie mówiła... Zresztą, wtedy między nami stał człowiek, człowiek, który zasłaniał sobą w oczach pani nietylko mnie, ale cały świat...

— Jednak z pana fantasta i mistrz w wyolbrzymianiu.

— Ach, jakbym chciał być w tym wypadku fantastą!

— Ja nie przeczę, Gafani, że Chan mi się podobał... Nawet, może, rozkochałabym się w nim na dobre, ale śmiertelnie mnie obraził, jak tylko można obrazić kobietę!.. Pan rozumie... — i głos jej drgnął, a twarz pokrył gniew. Ona sama przejęła się swoją rolą: — Po tem zdarzeniu wymazałam go ze swej pamięci i ze swego serca. Teraz on jest dla mnie fantomem, mniej nawet niż fantom — niczem!

— Doprawdy?! Nie chcę wierzyć własnym uszom. Byłem tak przekonany...

— Zupełnie niepotrzebnie... Nigdy nie trzeba być przekonanym. Dusza kobiety i jej psychologia — to labirynt i ciągła zagadka. Nawet przeciętna kobieta, banalna kobieta jest zawsze trochę sfinksem.

— Tem tylko chyba można wytłumaczyć, że pani, Mar - Molli, taka „klasyczna“ kobieta obdarza swojemi względami marnego chłopaczka z powierzchownością gigola, który tylko dlatego nie jest gigolem, że ma sto miljonów. Gdybym nie był przekonany, że pani gardzi pieniędzmi..

— Powtarzam, nigdy nie należy być pewnym kobiety...

— Jak mam to rozumieć? Pani mnie doprowadzi do warjactwa... Ja... ja... „Niech cię licho porwie!“ — dodał w myśli Gafani.

Szczerząc zęby i błyszcząc swoją dwudziestotrzechletnią młodością, wyrósł przed Mar-Molli wysoki i gibki Viljegas.

— Oto torebka, o bogini!

W twierdzy konkwistadorów

Gdy szofer w białej liberji zatrzymał auto, Gafani wysiadł i obejrzał się. Tu w dzień rzadko kto przechodzi, a cóż dopiero w nocy.

Gafani przy pomocy szofera wyciągnął Chana Mugańskiego z auta i razem, chwyciwszy go pod ręce, poprowadzili, a raczej zawlekli do gabinetu posła i położyli na otomanie.

— Nareszcie! — spotkał Eskobedo tryumfującego Gafaniego.

— Jak pan widzi, robota czysta, towar dostarczony. Teraz poproszę o pieniążki — drugą połowę.

— Czy doprawdy czysta? A jeśli to nie on? Jeśli pan mi podsunął fałszywego Chana...

— Za kogo pan mnie uważa?! — obraził się Gafani.

— A dlaczego? Czemuż fałszywemi dolarami meksykańskiemi operować można, a fałszywym Chanem Mugańskim — nie?..

— Słuchaj pan, Eskobedo, ja nie należę do tych, którzy pozwalają znęcać się nad sobą. Dość głupstw, w które pan sam nie wierzy. Pan na chwilę nawet nie wątpi w autentyczność tego człowieka. Dlatego też i jest pan taki bezczelny. Teraz z Gafanim można postąpić bez ceremonii. Teraz Gafani może sobie iść do diabła!

— Może i wcale nie odejść! — zagroził Eskobedo.

Dopiero teraz Gafani zauważył obecność czterech drabów w gabinecie. Każdy z nich podrzucał na dłoni i łapał ciężki rewolwer.

Ale awanturnik postanowił iść „na całego“.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 103

Z ociąganiem spełnił siostrzeniec rozkaz doktora, tak, jakby go to kosztowało dużo przezwyciężenia.

Doktor tymczasem badał puls chorego, — słaby leżał w dość silnej gorączce.

Widocznie nie był przytomny, bo od czasu do czasu wyrywały mu się z ust jakieś niezrozumiałe krzyki i jęki.

„Jeszcze niżej światło!“ rozkazał lekarz.

Ale w tej samej chwili kiedy nieznajomy oświetlił lepiej twarz chorego, drgnął nagle Henryk Haler, jakby ducha zobaczył. Głęboka bladość pokryła mu twarz, chwiejąc się, cofnął się w tył, jakby miał zamiar uciec znowu do drzwi.

W jednej chwili jednak zapanował nad sobą i zmienionym głosem zapytał ponuro, wpatrując się badawczo w oczy nieznajomego.

Szczęściem było dla doktora Halera, że ów młody nieznajomy, do którego wystosował to pytanie, nie zauważył na nim wskutek złego oświetlenia ani bladości, ani jego przerażenia, które się odmalowało w jego obliczu. Inaczej życie doktora wisiałoby na włosku, nieznajomy o czarnych połyskujących włosach nie był kto inny, — czytelnik odgadł to już zapewne, — jak Alfred Robber.

Posmarował sobie tylko dla niepoznania włosy na czarno, bo wiedział o tem, że w liście gończym, który rozesłała policja za nim na wsze strony rudy włos jego był specjalnie jako nadzwyczajny znak wyszczególniony.

Gdyby Alfred Robber przeczuł, że lekarz ten, którego tu sprowadził do swego kamrata, zna tegoż, ba że nawet ściślejsze związki zachodzą pomiędzy tymi obojga, — nie zawahałby się ani chwili, sprzątnąłby potajmnie doktora Halera ze świata z tej prostej przyczyny, żeby się obawiał, by go tenże nie zdradził. A tu w tej odosobnionej, oddalonej czeluści mógłby to uczynić wygodnie, nie narażając się na niebezpieczeństwo odkrycia.

Henryk Haler mógłby tu krzyczeć i wrzeszczeć o ratunek, z pewnością żadne ludzkie ucho nie słyszałoby jego wołania o pomoc.

Jednak nie przeczuwając niczego, odrzekł Alfred Robber ze spokojem:

„Pan się pyta, panie doktorze, jak się nazywa mój wuj? Mister Miller nazwisko jego. Był on niegdyś zamożnym obywatelem, na nieszczęście stracił wszystko i zeszedł do takiej nędzy. Ach, proszę go zbadać prędzej i powiedzieć mi, co ja mam właściwie z nim począć?“

Henryk poznał pomimo niepewnego, migocącego światła łojówki na pierwszy rzut oka w słabym swego ojca...

Zimny dreszcz przeszedł mu po ciele, widząc go w tej nędzy bezgranicznej, na kupie łachmanów bliskiego śmierci, złamanego i rozchorowanego tak tak ciężko.

Pomimo, że go nie zbadał jeszcze, jedno spojrzenie w to żółte jak wosk oblicze słabego dało mu do poznania, że z chorym jest bardzo źle, że stan jego groźny.

Henryk Haler zapanował tymczasem zupełnie nad sobą. Przeczuł instynktownie, że byłoby to z wielkiem niebezpieczeństwem dla niego połączone, gdyby się zdradził, że zna tego starca.

Niby to też z zupełną obojętnością schylił się nad chorym i począł go badać dokładnie.

Po jakiejś chwili wygłosił rezultat swych badań i opukiwań w następujący sposób:

„Ten człowiek ma złamaną tylną kość pacierzową i naruszony stos mleczny. Za cud to można uważać, że przez te dwa dni, przez które leżał tutaj bez opieki lekarskiej, nie skonał.“

„Czy jest nadzieja, że się podniesie na nogi?“ badał Alfred Robber.

„Nigdy!“ odrzekł młody lekarz, „temu człowiekowi możnaby tylko życzyć, aby ga jak najprędzej śmierć uwolniła, bo przechodzi bóle ogromne. Straszne cierpienia męczą go nieustannie. Jednak możliwem jest, że natura jego powalczy jeszcze jakiś czas ze śmiercią. Obserwowano już, że tego rodzaju chorzy rok, a nawet i dwa lata męczyli się jeszcze. Podnieść się nie będzie w stanie. Po pewnym przeciągu czasu poczną mu obumierać pojedyńcze członki — nastąpi wreszcie ogólny nieżyt. — Rozum także wypowie swoją służbę. Popadnie w cielesny i duchowy letarg. Chory taki może tylko wydobyć ze siebie niezrozumiałe krzyki i jęki, musi być jak dziecko karmiony i czysto trzymany. Wkońcu traci wzrok i leży tak niby przy życiu a w rzeczywistości obumarły i jest męczarnią dla całego otoczenia, które niema w nim człowieka, tylko masę bezwładną, gnijącą powoli.“

Nawet Alfred Robber zadrżał, kiedy mu doktor postawił taki prognostyk dla wspólnika.

„Przedewszystkiem,“ ciągnął dalej doktor Haler, — „chory ten musi być bezzwłocznie przetransportowany do szpitala. Tutaj nie może zostać pod żadnym warunkiem, toby go prędzej zabiło. Muszę zawiadomić dyrekcję którégokolwiek szpitala, że znajduje się tutaj chory, potrzebujący natychmiastowego przyjęcia. Myślę, że jakkolwiek szpitale w Londynie zawsze przepełnione i trudno w nich o miejsce, przecież na moją prośbę nie odmówią przyjęcia tak ciężko chorego i uwzględnią tym razem potrzebę za konieczność.“

Ale to nie było po myśli Alfreda Robbera. Nie mógł pozwolić na to, aby doktora Morizano przetransportowano do którégokolwiek szpitala, bo tam badaliby zaraz jak się pacjent nazywa, w jaki sposób przyszedł do tych okaleczeń, co mogłoby łatwo spowodować zdemaskowanie.

„Panie doktorze,“ wyszeptał Alfred Robber, przystępując poufale tuż do doktora i nachylając się do jego ucha, „miałbym prośbę do pana. Widzi pan, jeżeli rzeczywiście nie ma ratunku co do osoby mego wuja i taka straszna przyszłość go oczekuje, to przecież lepiejby było, żeby go prędzej śmierć zaskoczyła. Dlaczego nie dopomoże się w tym wypadku trochę chorobie, by prędzej koniec nastąpił?“



Wyśmienicie smakują winogrona z własnej winnicy... Smacznego!...

„Jak to pan myślisz“? spytał Henryk Haler ze zdziwieniem odstępując o krok w tył.

„Kochany panie doktorze, ja bym na wszystko się zdobył, aby uratować tylko mego wuja,“ zapewniał Robber, przewracając pobożnie oczyma, „ale widzi pan, ja jestem biednym człowiekiem, skazanym na ciężką pracę rąk. Dlatego myślę sobie, aby pan doktor dał mi taką receptę, na którą dostanie się lekarstwo, zwalniające go raz na zawsze od wszelkich cierpień.“

„Proszę przestać,“ przerwał mu doktor Haler rozgniewanym głosem, „co żądacie odemnie! To, co chcecie, byłoby straszną zbrodnią! Pod żadnym warunkiem nie wolno nikomu skracać życia swego bliźniego. Zastanowię się na tem, co tu jest do zrobienia w tym wypadku, poczem będę działał na własną rękę, choćby to było przeciwne waszemu życzeniu.“

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł doktor Haler spiesznie z ponurej izby. Dopiero, jak się znalazł na ulicy, odetchnął pełną piersią, delektował się świeżem powietrzem po wyziewach tej okropnej dziury. W głębokiem rozdrażnieniu wracał z pospiechem do domu.

Więc los sprowadził go znowu razem ze swym ojcem!

Nie chciał nic wspominać o tem swojej Maryi, by nie zasmucać jej czystej duszy tak brudnym obrazem. Najlepiej by było, gdyby mógł zapomnieć o tej swojej wizycie wieczornej.

Cóż za obowiązek miał względem tego mężczyzny, który nietylko, że zrzucił ze siebie wszelkie obowiązki ojcowskie, ale który zawinił śmierć jego matki, który podniósł rękę w zabójczych zamiarach na własnego syna!

Niechby skonał odosobniony, nie wyjawiając swego nazwiska, chyba przed

równie godnym go towarzyszem zbójeckim.

Tak chciał nie widzieć tego chorego bliskiego śmierci, jego woskowej żółtej twarzy, w którą się przed chwilami wpatrywał, — zapomnieć, jakgdyby go nigdy w życiu nie widział, ani znał.

Ale tylko przez krótką chwilę wirowała ta myśl w głowie młodego doktora, natychmiast ją od siebie odrzucił.

Ten człowiek, choćby on był najgorszym i najpodlejszym i zasługiwał w zupełności na swój teraźniejszy nędzny los, — przecież on był jego ojcem! Ukochana matka, spoczywająca w chłodnej ziemi nazywała go swym mężem. I chociażby wszyscy ludzie się go wyrzekli, uciekli od niego i ze wzgardą się odwrócili, on, — on musiał się nim zająć, bo on był jego synem. Musi przynajmniej o to się postarać, aby nie skończył tak nędznie na tych pół przegniłych łachmanach.

„Ja go muszę kazać przenieść do szpitala", mruczał doktor Haler sam do siebie, „tam będę go pielęgnować i to na moje kosztą. Jednak nie, — to także niemożliwe!

„Nie chciałbym go wkręcić w to niebezpieczeństwo, żeby się dowiedzieli w szpitalu o jego nazwisku. Muszę przeto posunąć się o krok naprzód i wziąć go do mego własnego mieszkania.

„O moja biedna, droga Marylu, co za zadanie, co za smutne dnie przyjdą na cię! Ale Bóg mi świadkiem, nie mogę inaczej, — on przecież moim ojcem!"

Z tem postanowieniem wstąpił młody lekarz do swego domu. Niczego nie przeczuwając, zaskoczyła mu Maryla wesoło drogę, wołając:

„Ach, jakże się cieszę, że już jesteś z powrotem, to będzie dzisiaj wesoły wieczór!"

Lekarz zrzucił ze siebie płaszcz i kapelusz, podając służącej. Następnie wciągnął Marylę ze sobą do pokoju, zamknął drzwi i zwracając się ku żonie, w te słowa się odezwał:

„Boję się Marylu, że twoje życzenie, co do wesołego, pogodnego dzisiejszego wieczoru, nie spełni się. Kto wie, jak długo będziemy musieli czekać na taki wieczór!"

„Na Boga, co ty chcesz tem powiedzieć?" zawołała młoda blondynka ze strachem, „Boże, jak ty wyglądasz? — Henryku, tobie musiało się jakieś nieszczęście przydarzyć, — ach, nie męcz mnie, — powiedz zaraz!"

„Tak, nieszczęście, i to wielkie do tego!" wyjęczał doktor Haler, „Marylo, bądź mocną, — muszę ci straszną wiadomość przynieść, — muszę cię wtajemniczyć, — ja, — ja, — odnalazłem mego ojca."

„Twego ojca!" krzyknęła Maryla z przerażeniem, — „o Boże! — Tak, masz słuszność, to wielkie nieszczęście dla nas, — to z ogromnem niebezpieczeństwem dla ciebie połączone!"

W następnej chwili porwała swego ukochanego męża w ramiona i z płaczem zawołała:

„Jakżem szczęśliwa, żeś tak prędko wrócił do mnie. Ach, ja drżę jeszcze teraz na myśl, żeś się znajdował w pobliżu tego okrutnego człowieka."



Warlowr, wioska położona w pobliżu Ludwiglust (w Niemczech) została nawiedzona przez groźny pożar, którego ofiarą padło 21 budynków mieszkalnych i gospodarskich.

„Mylisz się, żono," zawołał Henryk Haler, „ten człowiek nie zdolen nikomu najmniejszej krzywdy wyrządzić. Znalazłem go złożonego ciężką chorobą, niezdolnego zwlec się z łoża, — znalazłem go, jako napiętnowanego losem, najzupełniej złamanego, — nieszkodliwego. Strasznie ukarała go nieubłagana Nemezis. — Otóż moja kochana Marylu, mam wielką prośbę do ciebie: ten nieszczęsny, od którego łoża wracam obecnie, musi dostać jakiś kąt własny. Obecnie niema żadnego; przytem potrzebuje opieki. A któż ma się zająć nim i zaopiekować, jak nie ja? I ty, moja Marylu, musisz go pielęgnować, choć będzie cię to kosztowało wiele zaparcia się siebie i poświęcenia, — jednak w takim stanie, w jakim się teraz znajduje, nie możemy go opuścić. Musimy go wziąć do naszego domu. Jako syn nie mogę się zaprzeć obowiązku, jaki na mnie ciąży względem tego słabego."

Maryla opuściła główkę, dwie wielkie łzy zabłysły w jej oczach. Zdało jej się, że w tej chwili musi pożegnać swoje szczęście, spokój i zadowolenie, jakie ją otaczały i przepełniały podczas dotychczasowych wspólnie przeżytych chwil z mężem, ale zaraz potem rzuciła się doktorowi na szyję, szlochając i mówiąc płaczem przerywanym głosem:

„Tak, — postępujesz słusznie, — musisz wypełnić swój obowiązek synowski. Ja, — ja — będę go pielęgnowała."

Młody lekarz przyciągnął ukochaną kobietę do swego serca, wołając:

„Dzięki ci, Marylo, — temi słowy związałaś nas jeszcze stalej ze sobą, utwierdziłaś dobre pożycie. Ulżyłaś mi w mojem ciężkiem postanowieniu! Jeszcze raz, dzięki ci!"

CXCIV

Opryszki pomiędzy sobą

Tymczasem Alfred Robber stał nad nędznym barłogiem, na którym leżał jego kolega i towarzysz, spoglądając na jęczącego bez cienia współczucia.

„Hola, stary psie," zawołał, kopiąc nogą ciężko zranionego, „teraz mogę sobie łamać głowę, co z tobą począć. Jak mi doktor przyśle ludzi ze szpitala, wówczas jestem zgubiony. Pojmiesz, że nie mam wcale ochoty z tego powodu kłaść głowę pod topór. Hm, ten lekarz to wierutny błazen. Ciekaw jestem co mu na tem zależy, czy taka stara bestja zdechnie lub nie. Świat nie straci nic na tobie, mój kochasiu i przyjacielu, a ty także nic nie stracisz na świecie. Ha, kiedy doktor niechce mi zapisać trucizny, muszę sobie ją sam w jakiś sposób przygotować. Ale teraz najwyższy czas, abym poszedł do baroneta i przyniósł umówioną sumkę. Ralf Ravington zapłaci, o tem jestem przekonanym, bo chce, abym się podjął jeszcze drugiego krwawego rzemiosła. Chybabym był głupcem! Jak tylko poczuję pieniądze w rękach, wezmę nogi za pas. Za pieniądze dostanie się w Londynie wszystkiego, a więc i porządne przebranie. Włosy i brodę ufarbowałem sobie już dość dobrze, niktby mnie nie wziął za Alfreda Robbera. Brakuje mi jeszcze ubrania kawalera, poczem z największym spokojem udam się na okręt, który odjeżdża do Francji. Abym się tylko dostał do Paryża, — tam jestem już bezpieczny.

„Ale zanim odjadę," ciągnął Alfred Robber dalej w swojej perorze do siebie, „muszę ci jeszcze pewną przysługę oddać, mój kochany przyjacielu Morizano, mianowicie wypchnąć cię do piekła. Przecież dostanę do licha w Londynie trucizny na szczury. Jak ludzie ze szpitala, którzy i tak nie przybędą tutaj przed jutrzejszym rankiem, wejdą do tej nory, znajdą tylko trupa. Obejdzie się więc bez pytań, coś za jeden i gdzieś złamał twe krzyże. He, co chcesz, mój kochasiu, mnie się zdaje, żeś znowu odzyskał przytomność na chwilę, — nieprawdaż?"

Chory podniósł głowę i rozszerzył przymknięte oczy z trudem jak daleko mógł. Usta otworzył szeroko i począł poruszać językiem, chcąc wydobyć ze siebie parę słów.

Alfred Robber pochylił się do słabego, — z zimnym uśmiechem patrzył na cierpiącego.

„No, cóż nowego?“ zawołał. „Przecież zawsze byłeś taki rozmowny? Czegoż nagle brak ci słów?“

„Wody!“ wyjęczał chory sztywnym językiem, „tylko jedną kro — plę.“

„Wody chcesz? Po wodę musiałbym iść na podwórze! Poco ci wody? Ziemia, to jedyny element, który ci potrzebny.“

„Cierpię,“ wybełkotał siwobrody mężczyzna z trudem, „miej prze — cież litość na — de — mną!“

„Litość? O, tę mam, całkiem serjo! Możesz mnie słyszeć?“

Morizano skinął tylko głową na znak poparcia.

„W takim razie powiem ci wesołą nowinę, — dzisiaj w nocy otruję cię“, zawołał Alfred Robber do ucha chorego drwiąco i bezmiłosiernie. „Zrozumiałeś mnie? — Trucizny na szczury ci podam, żebyś prędzej skończył.“

„Szubrawiec!“ wydobyło się złamanym głosem z krtani doktora.

Wargi poczęły mu się trząść jak we febrze, opuścił głowę bezsilnie na szmaty. Piana wyszła mu z ust, atak kurczu gorączkowego schwycił go nagle.

„Tfu, do licha!“ zawołał Robber. „Jak pomyślę, że mógłbym tu także tak leżeć, że zawdzięczam tylko przypadkowi, że skoczyłem tak szczęśliwie z okna, aż mnie ciarki przechodzą. Nie, — odrazu tego konającego starego durnia nie mogę dłużej znieść. Dalejże, do baroneta!“

Alfred Robber nacisnął czapkę na głowę. Wyszedł z izby, nie zapominając zamknąć jej na klucz i chowając klucz starannie do kieszeni.

Znalazł się na ulicy. Prędkimi krokami dążył do domu baroneta Ralfa Ravingtona.

Doszedłszy do celu, stanął może o sto kroków zdala od eleganckiego domku i począł się uważnie oglądać. Nie zobaczył nic podejrzanego.

Podczas drogi przyszła mu dziwna myśl do głowy, — myśl, której nie mógł się pozbyć, choć sam irytował się na siebie, że takiemu głupiemu przypuszczeniu mógł choć na chwilę ulec.

Co wtedy, jeżeli Ralf Ravington przygotował tylko pułapkę na niego, — jeżeli go tylko po to zaprosił do swego domu, aby się go tem łatwiej pozbyć?

„Oho“, zaburczał Alfred Robber. „Do takiej rzeczy potrzeba dwóch!“

Pomacał się za kieszeń u surduta, w której nosił zawsze sztylet.

Pokołował koło domu, wszedł do ogrodu i przez małą furtkę, która stała otwarta, dostał się do wnętrza domu.

Znowu stanął, nadsłuchując ostrożnie.

Cisza panowała w miłym budynku. Baronet dotrzymał słowa i postarał się o to, żeby go żaden ze służby nie ujrzał.

Robber począł się drapać po kobiercem zasłanych schodach pocichutku jak kot, który czatuje na zdobycz. Oczy jego przenikały półcień, jaki tu panował, wświdrowywały się formalnie w każdy filar. Wszystkie zmysły jego były naprężone, wietrzące najmniejsze niebezpieczeństwo, jakieby mu zagrażało.

Nagle przystanął.

Na górze, na pierwszem piętrze otworzyły się drzwi. Skrył się za ścianę i czekał.



Powyższe zdjęcie przedstawia obrazek reklamowy, jaki obecnie wysyła w świat pewna amerykańska wytwórnia filmowa. Pokazuje on Sonie Henie przy studjum nad jej pierwszym filmem amerykańskim. Tytuł filmu z tą wybitną mistrzynią sztuki łyżwiarskiej i wielokrotną zwycięczynią w Igrzyskach Olimpijskich — brzmi „Symfonja w bieli“.

„Czy to wy, Alfredzie Robberze“, zabrzmiał z góry głos baroneta.

„Ja jestem“, odpowiedział Robber i w kilku susach znalazł się na górze.

W niespełna pół minuty bawił w zbytkownie urządzonym salonie, do którego wciągnął go baronet z pospiechem.

I tutaj oglądnął się Robber bacznie dookoła. Tak dużo poduszkami wyłożonych ścian i siedzeń niepokoiło go nieco widocznie.

Jak łatwo mógł się ukryć za takim wypoduszkowanym fotelem albo sofą jakiś człowiek.

Ale nie! Alfred przekonał się bezzwłocznie, że sam jeden tylko w sali z baronetem.

To wróciło mu zwykłą odwagę i zimną krew.

„Nie widziano was?“ spytał baronet pospiesznie, — „może was kto zobaczył, jak wchodziliście do mego domu?“

„Ani pies na mnie nie zważał!“ odpowiedział Robber.

„Nie spostrzegliście także nikogo, ktoby na ulicy przed domem spacerował tam i zpowrotem? — Przed chwilą patrzyłem się przez okno na ulicę i widziałem na przeciwnym trotuarze jakiegoś mężczyznę, który wzdłuż frontu mego domu spacerował bezustanku tam i napowrót.“

„Hm, to mógł być przypadek! Ta ulica przecież dosyć żywa i ludna, może miał tutaj oznaczoną jakąś schadzkę.“

„To samo pomyślałem sobie także,“ odezwał się baronet. „Do djabła, to przecież ochydne, że człowiek czasem takim jakimś dziwnym niepokojem dręczony. Przedtem śmiałem się zawsze, jak mi ktoś mówił o sumieniu i o głosie jego, który woła na zbrodniarzy potężnie. — teraz zaczynam sam potrochu w to wierzyć.“

„Powinien pan zmienić miejsce zamieszkania, kochany baronecie, — powietrze inne,“ — zaśmiał się Robber! — „Niech sobie pan weźmie przykład ze mnie. — W krótkim czasie powiem Londynowi adieu, pożegnam się z nim bez żalu, — naturalnie wpierw muszę załatwić jeszcze jeden ważny interes!“

Robber nie mógł się przyznać przed baronetem, że chce natychmiast dać drapaka ze stolicy angielskiej, jak tylko dostanie od niego pieniądze, że niema wcale zamiaru zostawać tutaj i mordować Elżbietę Ravington, — przeciwnie musiał kłamać, że zgadza się i na drugie zlecenie.

„Ale teraz do rzeczy,“ zawołał Alfred Robber. „Wiecie, panie Ralfie Ravingtonie, dlaczegom tu przybył, wyrównajmy więc przedewszystkiem nasz rachunek.“

Ralf przystąpił do eleganckiego biurka, otworzył je i wyjął ze środka pudełko z cygarami, flaszkę wina i kieliszek.

„Proszę zapalić sobie najprzód cygaro, kochany przyjacielu,“ odezwał się baronet. „Przy cygarze i kieliszku gwarzy się lepiej. To prawdziwe scherry, — wyśmienite, — proszę skosztować!“

Nalał kieliszek wonnym winem, stawiając go przed gościem i otworzył pudełko z jakiemiś doborowymi cygarami.

Ale Alfred Robber nie sięgnął ręką po wino i cygara. —

„Co, wy gardzicie memi cygarami? Może nie taka dobra marka, do jakiejście przyzwyczajenmi, — ha, — napijecie się bodaj kieliszek scherry, — to

wam będzie smakować, zaręczam was, i doda wam siły i odwagi."

„Dziękuję," odezwał się Robber, — „mnie nie brakuje ani odwagi, ani siły. Ale z ludźmi, z którymi mam do załatwienia także ważne interesa, jak i z wami, baronecie, nie palę wpierw ani nie piję. Może to się wam dziwne wyda, — wybaczcie mi, ale — to już takie moje przyzwyczajenie, które zresztą nie jest bezpodstawne ani bezcelowe."

„Haha, rozumiem was," zawołał baronet. „Boicie się może, że mógłbym was otruć? Patrzcie się jak rzetelnie z wami postępuję."

Przy tych słowach złapał baronet za kieliszek z winem i wychylił go duszkiem, poczem sięgnął do pudełka, po pierwsze lepsze cygaro, obcinając je i zapalając.

„No, uspokoiliście się?" spytał

„Uspokoiłem, ale ani palić ani pić nię będę pomimo tego! Ale mniejsza o to, przystępujmy do naszej sprawy."

Alfred Robber zdjął przy tych słowach czapkę z głowy. Dopiero teraz spostrzegł baronet, że opryszek ma obecnie czarne włosy, zamiast rudych.

„Ha, toście paradnie zrobili," zawołał Ralf Ravington. Ufarbowaliście sobie włosy, — doskonale, — teraz trudno im będzie was poznać, a to było potrzebne, bo do djabła, wszystkie gazety wspominają już wasze imię i wszystkie psy gończe na piętach waszych. Ale co słychać z Morizano?"

„Żyje jeszcze, ale zdaje mi się, że dzisiaj w nocy napewno skończy!" zawołał Alfred Robber z przerażającą ironią.

„A kiedy skończy Elżbieta Ravington?" spytał baronet.

„Jutro", odpowiedział Robber, „naturalnie pod warunkiem, że dzisiaj wypłacicie moje pieniądze."

Baronet wyciągnął pomału portmonetkę i przeszukiwał ją z pewnem zakłopotaniem.

„Kochany przyjacielu," odezwał się wreszcie. „Starałem się sumiennie całą sumę zebrać dla was, ale mi się nie udało. Dzisiaj mogę wam wypłacić tylko tysiąc funtów szterlingów."

Robber zmarszczył czoło. Ogromne rozczarowanie odmalowało się na jego twarzy.

Liczył na to z pewnością, że przynajmniej pięć tysięcy funtów dostanie. Z tą sumą mógłby łatwo uciec zagranicę, — tymczasem baronet zaofiarował mu piątą część spodziewanej sumy.

„Cóż to ma znaczyć?" zawołał Alfred Robber ochrypłym głosem, odrzucając podawany mu banknot, „ja nie poto tutaj przyszedłem, żebyście ze mnie drwili, panie baronie, ja żądam moich pieniędzy."

„Na miłość Boga, nie krzyczcie tak głośno," odezwał się Ralf Ravington, „przecież nie jesteśmy sami w tym domu! Służba mogłaby nas łatwo usłyszeć."

„Usłyszą mnie wkrótce inni ludzie, nietylko służba," odparł Robber, wciskając sobie znowu czapkę na włosy, „bo ja nie pozwolę kpić i drwić ze mnie! Kiedy tak ochydnie ze mną postępujecie, zrobię krótki proces. — Sam pójdę na policję i opowiem jej wszystko, co wiem."

„Haha", zawołał Ravington, „cóżbyście mogli wiedzieć i co udowodnić? Dowiedzcie mi, żem wam dał zlecenie. Ja mam dowody na was, zresztą i bez tego wie cała ludność, że wyście mordercą adwokata Blacka. Mnie jednak nie możecie nic zrobić, bo brak wam dowodów."

Alfred Robber rzucił się, jakby ukąszony od gada. Szybkim ruchem złapał za rękojeść sztyletu, ukrytego w kieszeni.

Ale w tej samej chwili sięgnął baronet do pudełka, w którym były cygara. Ze spodu wyciągnął równie szybko rewolwer, ukryty tamże pod cygarami.

„Chcecie, może się spróbować," zawołał Ralf, trzymając lufę rewolweru wymierzoną wprost w pierś bandyty, „i owszem proszę, jam gotowy!"

Alfred Robber odstąpił wstecz, piana wściekłości ukazała mu się na ustach, poczuł, że trafił na lepszego, że z baronetem nie może iść w zawody.

„Któżby mi teraz przeszkodził," ciągnął Ralf Ravington dalej, „zastrzelić was jak wściekłego psa, a potem powiedzieć, żeście wtargnęli do mnie, by mnie obrabować! Uwierzonoby mi przecież, bo jestem baronetem Ralfem Ravingtonem. A was także znajdą jako notorycznego złodzieja, rabusia i bandytę! Jednak widzicie, żem nie chciał tego zrobić, nie chciałem was oszukać, ofiarowałem wam przeciwnie pieniądze, wprawdzie nie tyle, ile mieliście dostać, ale bieda tylko nie dozwala mi wypłacić wam wszystkiego obecnie. Teraz weźcie przynajmniej na początek te tysiąc funtów. Jeżeli do jutra przyniesiecie mi dowód, że Elżbieta Ravington nie egzystuje więcej, wówczas otrzymacie nietylko resztę, ale dalsze trzy tysiące funtów do tego."

Alfred Robber pochwycił obu rękami za banknot. — Z szybkością błyskawicy schował go do kieszeni od surduta.

„Dobrze", odpowiedział ochrypłym głosem, „pojutrze rano przyniosę wam dowody, że Elza Ravington nie bawi więcej na tym świecie. Ale dotrzymajcie tylko wy waszego przyrzeczenia!"

Po tych słowach wypadł z pokoju i pomimo, że słyszał, że baronet wołał go po nazwisku, nie wrócił, aby się zapytać, czego sobie jeszcze życzy, ze zręcznością i szybkością kota zbiegał po schodach na dół.

Był na pół nieprzytomny ze wściekłości. Ta myśl, że stał tak bezsilny wobec Ralfa Ravingtona, piekła go i bolała. Oprócz tego ujrzał nagle wszystkie swoje plany pokrzyżowane, chciał przecież z większą sumą pieniędzy opuścić Londyn.

Robber przebiegł przez ogród i wyszedł na ulicę.

Była jedną z nieprzyjemnych i deszczowych nocy jesiennych. Robber podniósł kołnierz do góry, aby się uchronić przed zmoknięciem i zimnem.

Mimowoli spojrzał na okna, bo tak był przyzwyczajony, czy nie zobaczy czego podejrzanego.

Tuż — koło płotu, który odgradzał ogród od ulicy, stał jakiś rosły mężczyzna. Spojrzał w drugą stronę. — I tak ujrzał drugiego, opartego o balustradę który zdawał się czekać na kogoś.

„Hm, to tak wygląda, jakby ci dwaj pilnowali tego domu! Ale, cóż mnie to obchodzi!"

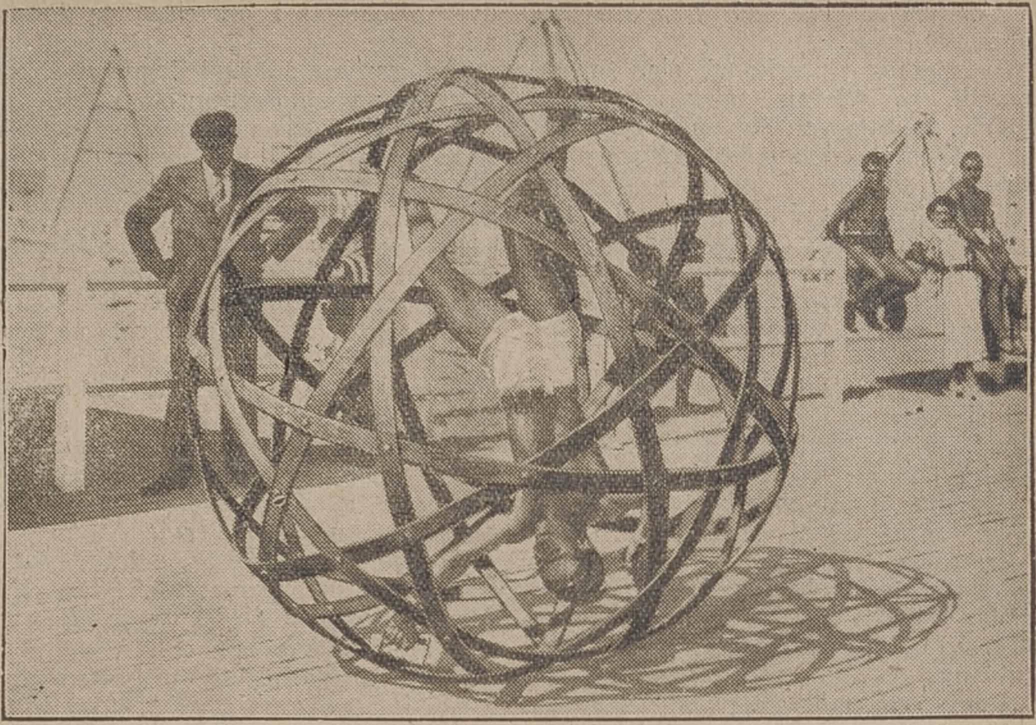
Podszedł pewnym krokiem i zbliżył się do owego rosłego mężczyzny, bo musiał przechodzić koło niego.

Właśnie chciał skręcić w boczną uliczkę. Nagle przyskoczyła jakaś postać męska tuż do niego, zanim się połapał, ujrzał lufę rewolweru, skierowaną prosto w swoją głowę.

„Stać bandyto! Ani kroku dalej! Ręce do góry!"

Alfred Robber bawił już dość długo w Londynie, więc wiedział dobrze, co to grzeczne żądanie znaczy.

Natychmiast podniósł ręce do góry, ile tylko był w stanie, — był przeko-



W tych dniach zainicjowano w pewnej francuskiej miejscowości kąpielowej nowy sport, który jednak niebardzo nadaje się do codziennego stosowania.

nanym, że to jeden z opryszków i rabusiów londyńskich, którzy czychają na dobrą zdobycz...

Ale niedługo przekonał się, że się pomylił, bo właśnie zauważył trzech innych, zbliżających się do niego spiesznie. Dwaj z nich mieli uniformy na sobie.

Chciał odskoczyć w bok, ale tuż koło niego stojący mężczyzna przycisnął mu zimne żelazo lufy do skroni.

„Nie próbuj nawet ucieczki, nie zaszedłbyś daleko, cała ulica obsadzona policją!"

Tymczasem trzej nadchodzący zbliżyli się. Alfred Robber poznał w jednym z nich komisarza policji, — w drugim jakiegoś oficera od marynarki, w trzecim — Robber wstrząsnął się nagle, jakby ujrzał ducha, jak tylko spojrzał na trzeciego — był to nie kto inny, tylko hrabia Zygmunt Sokolski.

Teraz wiedział zbrodniarz, że jest zgubiony.

„Mamy go, moi panowie!" zawołał mężczyzna z rewolwerem; „do tego, jak widać grzeczny, bo zaprzestał daremnych usiłowań wyrywania się. — Panie komisarzu, może pan będzie tak dobry zawołać dorożkę."

Ale w tej samej chwili schylił się Alfred Robber nagle i uderzył głową mężczyznę z rewolwerem w brzuch tak potężnie, że tenże z jękiem padł jak długi, poczem zaczął uciekać jak szczuwany lis.

Usłyszał tylko jak wołano za nim:

„Łapać go, za wszelką cenę musi być schwytany."

Rozpoczęła się dzika gonitwa. Robber wiedział, że rozchodzi się nietylko o wolność, ale nawet o życie jego. Przeto zebrał wszystkie siły swoje. W szalonych skokach pędził naprzód, ale tuż za nim gonił jeden, który mógł z nim rywalizować co do elastyczności członków. Był to Marceli Remy.

Już, już zbliżał się do większej ulicy. Jeżeli mu się uda skręcić koło domu i wpaść na jedną z głównych ulic Londynu, to uratowany, w gwarze, zgiełku i natłoku ludzi mógł się łatwo zgubić.

Nagle wpadł na jakiegoś człowieka, który m zabiegł drogę. Przewrócił go wprawdzie, ale tenże upadłszy, nie puścił go, — złapał go za nogę i powalił także.

W tej samej chwili dopadł go oficer marynarki. Rzucił się na niego i przygniótł mu pierś kolanem.

Jak dzikie zwierzę szarpał się Alfred Robber i rzucał ze wściekłością, nie mógł jednakże uwolnić się od napastnika. Czuł, że nie ma ratunku!

Ale nie, — miał przecież przy sobie sztylet. Gdyby mu się udało go wyciągnąć i zagłębić ostrze w piersi przeciwnika, mógłby jeszcze może zdołać umknąć, zanim inni nadbiegną.

Jednem silniejszem szarpnięciem uwolnił swoją prawą rękę, z błyskawiczną szybkością wydobył nóż z kieszeni i mignął nim w powietrzu.

„Psie przeklęty!" zaryczał i pchnął sztylet o całą siłą.

Ale Marceli zauważył niebezpieczeństwo na szczęście jeszcze zawczasu. Odepchnął silnem uderzeniem rękę bandyty z żelazem i przycisnął ją do ziemi.

Tymczasem nadbiegli Zygmunt Sokolski razem z komisarzem od policji.

Urzędnik wyciągnął stalowe łańcuszki i skrępował ręce Robbera w ten sposób, że tenże nie zdołał niemi poruszać.

Ale i tem nie zadowolił się przezorny policjant. — Wiedział, że wobec takich osławionych rabusi trzeba być ogromnie ostrożnym, nałożył przeto na lewą nogę Alfreda Robbera pierścień ze stali. Okowa ta zaopatrzona była cieńkim, ale silnym łańcuszkiem.

Robber, podniosłszy się, równał się raczej skrępowanemu niedźwiedziowi, który tak musi tańczyć, jak mu każą, niż wolnemu człowiekowi.

Pomimo tego jednak natężał wszystkie muskuły, chcąc zerwać żelaza. Nadarmo. Szarpiąc się i wyrywając upadł tylko na kamienie.

Kiedy powstał ciekła mu krew z nosa i ust i z rany na głowie, którą sobie z własnej winy zrobił upadając na kamień.

„Już nadjeżdża wóz!" zawołał komisarz policji, „musimy go wsadzić do środka."

Drzwiczki od powozu otwarto, ale musiała publiczność nawet pomagać zanim wsadzono go do środka. Rzucał się i zwijał jak jeż, padł znowu na ziemię i rzucał się po kamieniach, jakby dostał epileptycznego napadu.

Zaledwie jednak przechodnie dowiedzieli się, że to osławiony Alfred Robber, zebrała ich się taka masa, że z łatwością wrzucili go do wnętrza dorożki.

Drzwiczki zamknęły się. Komisarz policji, Zygmunt i Marceli wsiedli także dla eskortowania więźnia do środka. Galopem poloczył się wóz w kierunku zabudowania policji.

Przybywszy na miejsce, Alfred Robber zachowywał się dziwnie spokojnie. Widocznie uznał, że daremne usiłowania wyczerpią mu tylko siły, których będzie mu może bardzo potrzeba.

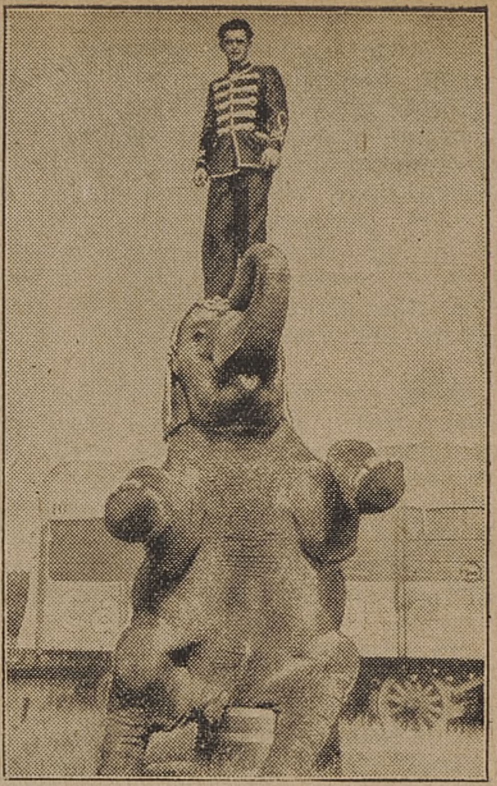
Zaprowadzono go do sali urzędowej, w której zabrał miejsce za stołem komisarz policji w towarzystwie hrabiego Zygmunta, Marcelego Remy i redaktora gazety „Daily."

Komisarz wziął arkusz papieru i przygotował pióro i atrament w celu sporządzenia protokółu.

„Wy nazywacie się Alfred Robber?" spytał komisarz.

„Nie daję żadnej odpowiedzi! Proszę nadarmo nie pytać, — ani nie badać napróżno, — napadliście mnie na ulicy jak na jakie dzikie zwierzę, ale ja niewinny, — ja znajdę jeszcze prawo i dla siebie."

„Słuchajcie, Alfredzie Robberze, poco te ceregiele, na cóż się wam przyda, że będziecie nam robili trudności, — że wyście tym od pięciu lat przez władzę poszukiwanym Alfredem Robberem, to nie ulega żadnej wątpliwości. Wasze czarne włosy nie oszukają nikogo. Trochę wody i mydła, rozpuści tę czarną farbę i zrobi was napowrót tym samym rudowłosym Robberem, który zamordował adwokata Blacka!"



Doskonała tresura pewnego słonia w cyrku Hagenbecka, który przebywa obecnie w Berlinie na gościnnych występach.

Alfred Robber poruszył lekceważąco ramionami.

„Nie znam żadnego Blacka," odpowiedział spokojnie, „ani nie mordowałem nikogo."

„Tak? W takim razie postawię wam świadka, który dokładnie śledził wasz czyn i widział was nawet, jakeście wyskakiwali z okna „pod białym słoniem."

„Białym słoniem? Co to takiego? — To może nazwa jakiej gospody? Nie znam takiego lokalu!"

„Tak, — nie znacie? Właśnie mówiłem wam, że mogę skonfrontować z wami świadka, który was widział, jak opuszczaliście hotel. Temu człowiekowi również zawdzięczacie, że obecnie jesteście więźniem, skutym żelazami."

Alfred Robber zgłupiał. Widocznie przecież podpatrzył ich jakiś człowiek przy robocie, — jego i starego Morizano.

„Ktoby to mógł być?" pomyślał.

„Tak, tak," ciągnie dalej komisarz policji, „mamy jeszcze chwała Bogu porządnych obywateli, którzy robią donosy do policji bez względu na to, że niebezpieczeństwo krwawej zemsty czeka ich ze strony jakiego wykrytego rabusia. Takim jest — baronet Ralf Ravington, który w tak zręczny sposób pchnął was w nasze ręce!"

Zaledwie komisarz policji wymienił to nazwisko, poczęły łańcuchy na rękach skutego dzwonić nagle.

„Ralf Ravington?" krzyknął rudowłosy bandyta. — „Haha, baronet więc zrobił ten donos? Jemu zawdzięczam, że się tu teraz znajduję?"

„W parę minut zjawi się on tutaj osobiście i powtórzy oskarżenie swoje prosto wam w twarz!"

„Tak, — uczynił to?" zasyczał Alfred Robber, zgrzytając zębami jak zraniony wilk, „ha, dobrze, kiedy on wyznał, wyznam i ja!"

Ciąg dalszy na str. 679.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

ADRESY!

O adresy, celem przesłania listów, znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Miły Szatyn" — „Stęsknione życie młodzieńca 26", — „Śmieszka z Pomorza" — „M. Rysia" — „Iry — Pomorzanka" — „Smutna Sztubaczka" — „Samotna Kukułka" — „Jasne Słoneczko" — „Idealistka" — „Śmieszka z Pomorza" — „Tajemnicza Brunetka" — „Sybilla" — „Będący w nadziei" — „Arabka" — „Czarny Saturn — „Jula i Baśka" — „Porporato" — „Zapomniana Marguerita z Chełmna" — „Bezinteresowny" — „Aloha" — „Dziewczę z Pomorza' „Wesoły łobuz z Warszawy".

CZY ZAŚWIECI DOBRA GWIAZDECZKA?

„Marjan". Ależ bardzo chętnie przedrukowuję apel Pana i mam wrażenie, że tym razem nie powie Pan z rezygnacją: „ha, widocznie nie mam szczęścia!"

„Hallo! inteligentne i miłe kinomanki! Która z was wniesie w szarzyznę i jednostajność mego życia trochę radości. Pracuję jako operator filmowy i widząc, jak po srebrnym ekranie przesuwa się i przemawia tyle gwiazd, zapragnąłem, aby i do mnie przemówiła jakaś dobra gwiazdeczka. Przedstawiam się więc z myślą, że znajdzie się w „Krainie" taka gwiazdeczka. Jestem Wielkopolaninem lat 26, posiadam średnie wykształcenie i wesołe usposobienie. Jak dotąd — jestem z życia zadowolony!"

UWAGA — WĄBRZEŹNO!

„Lakoniczek". Pseudonimy moich Sympatyków pamiętam zawsze doskonale, więc i Pańskiego nie zapomniałam. Rozumiem tęsknotę Pana za szczęściem i pragnęłabym dać Panu chociaż nadzieję, że szczęście istnieje i przyjść może, więc zamieszczam apel Pana — apel, który może przyniesie Panu nadzieję...

„Jestem samotny... Lata upływają, jestem coraz starszy, a w życiu mojem niema żadnej zmiany, absolutnie żadnej... Zrozumiecie więc, dlaczego piszę do Was, Drodzy Sympatycy, i proszę Was o listy. Przyślijcie mi nieco świeżych wiadomości z szerokiego świata — będę Wam bardzo wdzięczny! Znam świetnie Wąbrzeźno, więc liściki Wąbrzeźniaków sprawią mi szczególną radość. Czekam zatem!..."

„TĘSKNIĘ ZA BRATNIĄ DUSZĄ..."

„Złotowłosa Haluś". Dobrze, „Halusiu", prośbę spełniam i liścik Twój zamieszczam:

„Smutno teraz na polach... W sadach natomiast radość — drzewa uginają się pod ciężarem owocu, a w ogródkach aż pstro od astrów, dalij, gladjolów i innych jesiennych kwiatów. Niedługo rozpoczną kwitnąć chryzantemy i dąbki i wtedy nastąpi już kres radosnych uniesień. Myśląc o tem, ogarnia mnie jakiś niewytłumaczony smutek i ból, którego nie mogę się pozbyć pomimo najlepszych chęci i woli... Tęsknię za bratnią duszą, bo pragnę powierzać jej moje myśli, zapatrywania i obserwacje życiowe...

Czy nie zechciałbyś do mnie napisać, „Czarny Olku"? Rozumiem Cię, bo i ja kiedyś przeżywałam to samo, co Ty.

„Nie — biedna"! Serdecznie dziękuję Ci, Siostrzyczko, za słowa otuchy i proszę Cię, napisz do mnie. Pozdrawiam Cię serdecznie.

„Niesympatyczny Ed"! Ślicznie dziękuję Ci za pozdrowienia. Proszę, napisz raz jeszcze, a odpowiem napewno, gdyż list, który zaraz wysłałam do Pana — wrócił. Przesyłam uścisk dłoni i śliczny uśmiech.

„Terenia z pod Wrześni"! Za pozdrowienia dziękuję i przesyłam nawzajem moc całusów i uścisków."

Po przedrukowaniu Twego listu, „Złotowłosa Halusiu", przesyłam Ci jeszcze dużo, dużo pozdrowień i wyrazów serdeczności. Czy otrzymam znowu taki kochany liścik, jak ostatni?

CZY ZGADZA SIĘ?

P. Anatol G. O ile sobie przypominam, dawałam Panu odpowiedź. Czy tak? — czy zgadza się? Serdecznie pozdrawiam!

MAŁO JEST SŁOŃCA W „KRAINIE"

„Gentleman". Mało jest słońca wśród Sympatyków „Krainy", dlatego cieszę się ogromnie, gdy zawita do nas ktoś tak pogodny i radosny, jak Pan. List Pana oddaję do przedruku, gdyż poznamy z niego, jak Pan wygląda, jakie posiada zainteresowania i jakie życzenia.

„Od niedawna dopiero czytam „Moje Powieści", które niezmiernie mi się podobają, a szczególnie „Kraina szczerości i naszych trosk".

Ponieważ pragnę gorąco należeć do „Krainy" przedstawiam się:

Jestem młodzieńcem o ciemnych włosach i piwnych oczach. Nie jestem czasem odrażająco brzydkim, lecz takim sobie figlarzem o okrągłutkiej twarzy. Posiadam czułe serduszko, kocham przyrodę i ubóstwiam wszystko to, co piękne. Żywię również wielkie zamiłowanie do muzyki.

Bardzo, bardzo pragnąłbym poznać bratnią duszę, przed którą mógłbym się szczerze i otwarcie wyspowiadać. Może która z Czytelniczek chciałaby ze mną korespondować i zawrzeć ze mną bliższą znajomość?

Przesyłam serdeczne pozdrowienia „Kuszącej Różyczce" — „Czarnookiej blondynce" — „Słodkiemu Serduszku" — „Dzikiej Cygance" i „Da.nce".

Co do nadesłanych wierszy, jedno tylko mogę Panu powiedzieć: szablon! Musi Pan dużo jeszcze nad sobą pracować, zanim nauczy się składać gładkie i dobre rymy. Łączę dla Pana jak najserdeczniejsze pozdrowienia!

NAPISZ DO MNIE „DANKO"!

„Irka z Torunia". Stwierdzam, że do „Krainy" zakradło się nowe jasne słoneczko, mianowicie Pani. Dziękuję i mocno ściskam kochane łapięta, które skreśliły tyle cudownych zdań na błękitnych arkusikach.

„Mam jedną prośbę i proszę o jej spełnienie"...

Z miłą chęcią! Oto Pani apel:

„Hallo! „Danko"! — napisz do mnie, Kochanie! Przechodziłem kiedyś to samo, co i Ty, więc rozumiem Cię i chciałabym z Tobą listownie pogawędzić. Mówią, że smutek i jednakowe przejścia zbliżają do siebie ludzi — napisz więc albo podaj mi swój adres, „Danko". Nie wiem, czy prośba moja zostanie wysłuchaną, ale czekam, pełna nadziei".

(Chcąc zaabonować „Moje Powieści" wystarczy przesłać 1,00 zł do administracji wymienionego pisma, albo też zamówić, jak inne gazety u listonosza).

ŻYCZĘ PANU...

„Hiacent". Mylą się koledzy Pana, twierdząc, że jest Pan „wybredny". Nie! Posiada Pan tylko szlachetną duszę, która tęskni za kimś dobrym, wartościowym i również szlachetnym. Życzę Panu gorąco zdobycia w „Krainie" swego ideału oraz spełnienia wszystkich młodzieńczych marzeń. List Pana jest utrzymany w niezwykle miłym i poważnym tonie, przedrukowuję więc go niżej., abyśmy się dowiedzieli czegoś więcej o Panu.

„Zanim wyjawię powody, które skłoniły mnie do napisania tego listu, wpierw pozwolę sobie przedstawić się: mam lat 29, blondyn. Kocham książki w całym tego słowa znaczeniu i ogromnie interesuję się dziedziną, której imię: „Wiedza" — Lubię piękno, szlachetność i szczerość. Wogóle ciekawi mnie i absorbuje wszystko i dlatego wyrobiłem sobie w życiu o wszystkiem pewne sądy.

Normalnie zajmuje się kupiectwem Pomimo posiadania własnej bibljoteki, czytam „Moje Powieści" i odcinki powieściowe różnych innych czasopism. Lektura jednak nie daje mi pełnego zadowolenia, bo nieraz odczuwam w sobie wielką pustkę. Poprostu brak mi życzliwej duszy. Czy znajdę ją wśród Was, Drogie Sympatyczki? Chodzi mi bowiem o czyste serce — osobę wzniosłej idei, godną prawdziwego szczęścia."

BARDZO PROSZĘ O LIŚCIKI!

„Trzpiotka". Bardzo chętnie pośredniczę Pani w nawiązaniu korespondencji, to znaczy list z apelem przedrukowuję i przyrzekam Pani, o ile nadejdą listy, zaraz je przekazać.

„Dawno już chciałam napisać do „Krainy", ale dopiero dzisiaj zdobyłam się na decydujący krok.

W pierwszym rzędzie przedstawiam się: jestem złotowłosą o niebieskich oczach Pomorzanką. Lubię sport, przyrodę, muzykę i lekturę. Usposobienie mam bardzo żywe, ale to nie przeszkadza mi przejmować się niedolą bliźnich.

Bardzo proszę o liściki! Czy ta lakoniczna prośbą przemówi do kogoś?"

INFORMACJE

„Optymista Sir". W wiadomej nam sprawie wchodzą w rachubę następujące miesiące: czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień.

Treść dopisku Pana podaję do wiadomości zainteresowanych:

„Skowronku z nad polskiej niwy", ktoś z Poznania przesyła Ci pozdrowienia i „uśmiechnij się".

„Czarnulko z pod Śremu", proszę, nie zapomnij o Poznaniu! Moc pozdrowień!"

BĘDĘ BARDZO ZADOWOLONA!

„Czarnobrewka II." Liścik Twój, Kochanie, przemówił mi do serca. Napisałaś tak serdecznie i tyle dobroci włożyłaś w swoje słowa, że mimowoli zrodziła się w mej duszy sympatia dla Ciebie, Nieznana Dziewczynko. Czy będziesz mogła odpłacić mi się podobnem uczuciem i pozostać zawsze wierną słowom: „nie zapomnę nigdy o Pani"? O ile tak, będę bardzo zadowolona!

Czy projekt wycieczki nad morze, przyszedł do skutku? I czy poznały Panie wspomnianą w liście osobę?

A teraz kilka słów od Pani:

„Załączam pozdrowienia dla: „Merle" — „Dziewczynki z Bydgoszczy" — „Samotnego agronoma" — „Smutnego Stefa" i „Nowicjusza".

O liściki proszę: „Czarnobrewą Igę" — „Tancerza" — „Lotnika z Pomorza" i „Zdobywcę serc".

Hallo! Franku K. z U. P. Sępólno! — ślę wagon pozdrowień i proszę o list!"

KTO POŻYCZY PODRĘCZNIKI DO WŁOSKIEGO I ESPERANTO?

„Diana I." Do „Krainy" zasadniczo należą abonenci „Moich Powieści", ale niech mi Pani wierzy, że każdy liścik Pani przyjmę chętnie i z radością. Również chętnie zamieszczam treść Pani pocztówki":

„Ideał — Romantyka" oraz „Serce Stepów" przepraszam najmocniej, że dotychczas nie dałam Im odpowiedzi, ale stało to się z przyczyny ode mnie nie zależnej. T. R. podał nieczytelny adres, a S. S. nich czeka na odpowiedź.

Może ktoś z Sympatyków pożyczy mi podręczniki do włoskiego lub esperanto?"

UWAGA!

„Mika — milutki urwis". Protekcją służę Pani, jak najchętniej, temwięcej, że prosi mnie o to Pani tak ślicznie i usilnie. Uwaga więc Drodzy Sympatycy! — „Milutka Mika", chce Wam powiedzieć kilka słów, które niewątpliwie każdego potrafią zainteresować.

„Chciałabym skimś korespondować i uprzyjemnić komuś listami niejedną chwilę. Jestem wielkim łobuzem. Posiadam promienne uśmiechniętą twarz i 20 latek. Główkę moją zdobią śliczne loki. Lubię potrząsać nimi, tańczyć dużo, śpiewać i śmiać się. Potrafię być jednakże i zrównoważoną, bo nigdy nie zapominam o tem, że życie jest za poważne, aby je brać lekko. Łączę ukłony dla całej „Rodzinki" i czekam na pierwszy liścik".

SZCZĘŚCIA JEST MAŁO WŚRÓD LUDZI...

„Eros" Dziękuję Panu za fotografję! Zwrócę ją chętnie, ale pod warunkiem, że otrzymam inną, większą. Czy zgoda?

Ponieważ Iwią część listu poświęcił Pan kwestji szczęścia ludzkiego, dorzucę i ja kilka refleksyj:

Mając sposobność zaobserwowania setek ludzkich charakterów i okazję poznania tyleż serc, zauważyłam, że wszędzie dominuje nad innemi pragnieniami — głód szczęścia. Po szczęście wyciąga się tyle rąk! Ile tych rąk jednakże beznadziejnie opada i ile serc ginie z tęsknoty, trudno mi powiedzieć !Może mniej jest liści na drzewach i poszczególnych trawek wśród łąk, niż tych smutnych serc. Mało jest szczęścia wśród ludzi i dlatego ten głód. A ludzie temu sami winni, bo nie potrafią szukać szczęścia i zdobywać je. Nie wiedzą, że szczęście, to nietylko pieniądze, jakie takie zajęcie i wygodny dom, ale także i coś innego. Bo szczęściem jest przecież i zdrowie i nie splamione niczem sumienie i umiłowanie tego, co czyste, dobre i piękne. Powiedziałam o tem wszystkiem bardzo prosto, gdyż prostotę tę wprost obliczyłam, ze względu na to, aby trafiła ona do wszystkich przekonań.

A teraz jeszcze kilka słów w sprawie okazowych numerów. Otóż nadeślemy je Panu bardzo chętnie i dziękujemy za zainteresowanie się nami i jak najdalej idącą życzliwość. Łączę uściski dłoni i moc pozdrowień.

Teczka Wujka Janusza

TO NIC...

To nic, że los, okrutny los
Rozłączył dwoje serc na wieki,
Bolesny trzeba przetrwać cios,
Chociaż łzy żalu w duszy pieką.

To nic, że los, wszechwładny pan,
Rozłączył sobą dwoje ludzi...
Najgłębszych, krwią palących ran,
Współczucie ludzkie nie ostudzi.

To nic, że taki losu czyn
By z nas jednemu ściemnić życie,
Że szczęścia minął złoty sen
I serc ustało żywsze bicie.

To nic, że z duszy płynie jęk,
Tak bywa i tak być musi,
Los nam nie szczędzi bólu, mąk
Trzeba nam żyć i trudy znosić.

„Blanka".

NA ZDJĘCIA CIESZĘ SIĘ JUŻ NAPRZÓD!

„Blanka". List Pani nasunął mi wiele wspomnień z tej prostej przyczyny, że zwiedzałem już kiedyś wymienione i opisane przez Panią miejscowości. Wspomnienia te dały mi chwilę szczęścia i wewnętrznego skupienia się. Dziękuję więc Pani za tę piękną chwilę, oderwaną zupełnie od codziennej szarzyzny życia.

Bardzo jestem zadowolony, że otrzymam od Pani zdjęcia. Cieszę się już naprzód, bo mam wrażenie, że i fotografje wywołają u mnie nie mniej miłe wspomnienia. Czekam zatem, p. „Blanko" i z całą przyjemnością oddaję zakończenie Pani listu do przedruku:

„Biała Uajali"! Wybacz, Droga, że z pewnych względów nadal korespondować nie mogę. Życzę Ci dużo szczęścia i dobrej przyszłości.

„Heńku"! Proszę, wytłumacz mi, co mają oznaczać te Twoje słowa — dokończ je chociaż. A może to coś tajemniczego?

„Maruto"! Dziękuję Ci za miłe pozdrowienia i mocno, mocno całuję.

Hallo! Czy znajdzie się osoba, której będzie zależało na wymianie fotografij ze mną? Czekam na odpowiedź!

Osobne pozdrowienia ślę — Dzinkowi T. z Bydgoszczy, Wiśkowi G. z J., „Dumce", „Małej Mery" i pp. Wełnicom z Wiekowa.

PROJEKT APROBUJĘ

„Hanuś". Dziękuję! — serdecznie dziękuję! Dawno już nie otrzymałem tak miłego listu. „Projekt" Pani oczywiście aprobuję i z dnia na dzień oczekuję od Pani listu.

NIE SKORZYSTAM

„Piotruś". Nie mogę skorzystać, jedynie mogę Panu jeszcze raz powtórzyć to, co już raz powiedziałem. Za pozdrowienie dziękuję i wzajemnie przesyłam moc.

NOWELKI SŁABE

„Wesołek". Nowelki — słabe! Jedno tylko w nich mi się podoba — temat. Ale to mało — w pracach literackich musi być wszystko i poprawna ortografja i styl i ciekawy temat. Proszę, niech Pan o tem w przyszłości pamięta.

Na zakończenie dziękuję za ujmujące życzenia i ściskam Panu serdecznie dłoń.

W WIERSZACH ZBYT DUŻO EROTYZMU

P. Wolski z B. Nigdy w życiu nie czytałem tak erotycznych wierszy, jak Pańskie. Może Pan obierze sobie na drugi raz wdzięczniejsze tematy niż zawiedziona miłość, zdrada i zemsta? Niech Pan spróbuje — proszę!

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 13 września 1936 r.

8.00 Audycja poranna 10.00 Transmisja z Placu Zamkowego pontyfikalnej mszy polowej z okazji 400-lecia urodzin ks. Piotra Skargi oraz uroczyste odsłonięcie pamiątkowej tablicy na Zamku Królewskim 12.03 Rewja piosenkarzy i humorystów Warszawy 13.10 „Opinja" — obrazek obyczajowy 14.30 Koncert orkiestry wojskowej 14.30 Audycja dla wsi Koncert solistów 17.15 Koncert muzyki rozrywkowej 18.00 „Podwieczorek przy mikrofonie" 20.00 Kwartet smyczkowy C-Dur Mozarta 20.25 „Poetka złotych wizyj" — Kazimiera Zawistowska 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 21.30 Recital śpiewaczy Dody Conrada 22.20 Łódzka Mała Orkiestra i muzyka taneczna z płyt.

Poniedziałek, dnia 14 września 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.23 Arie i pieśni w wyk. słynnych śpiewaczek i śpiewaków 16.00 Popularny koncert 16.45 „Dziecko idzie do szkoły" — pogadanka 17.00 Koncert 18.00 „Organizacja wolnego czasu w Niemczech" — pogad. 19.10 Audycja strzelecka 19.40 Krystjan Sindling: Serenada D-dur op. 92 20.05 Arie i pieśni odśpiewa Jerzy Czaplicki 20.30 „W katorgach Sybiru" — feljeton 22.15 Transmisja wieczornicy, góralskiej z Kasperowego Wierchu. 23.00 Muzyka taneczna z płyt.

Wtorek, dnia 15 września 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.23 Koncert w wyk. zespołu kameralnego Niny Mańskiej 16.00 Koncert z Pawilonu Sztuki na Targach Wschodnich 16.45 „Henryk Dąbrowski i Legjony" — odczyt 17.00 Utwory Roberta Schumanna 17.50 „Wulkany polskie" — pogadanka 18.00 „Jak Mraus zaopiekował się Muksim" — opowiadanie dla dzieci 19.00 Koncert w wyk. Zespołu Smyczkowego Symfonji Orkiestry P. R. 20.00 Transmisja „Fausta" z Opery Warszawskiej 23.00 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 16 września 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.23 W barwnym świecie muzyki Debussego (płyty) 15.45 „Niezwykła przygoda Jędrka i Felka" — słuch. 16.15 Trio salonowe P. R. 18.00 „Toaleta poranna Napoleona" — feljeton 19.10 Utwory skrzypcowe w wyk. Antoniego Szafranka 19.30 Utwory wokalne Fr. Schuberta 20.00 Współczesna liryka muzyczna — płyty 21.00 Koncert Chopinowski w wyk. Józefa Smidowicza 21.30 Arje i pieśni w wyk. J. Hubertowej (mzsopran) 22.15 „U stóp Fudżijamy" — migawki muzyczne 23.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 17 września 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.23 Koncert Orkiestry Wojskowej 73 p. p. 15.45 Transmisja z placu zabawowego nad Wartą — audycja dla dzieci 16.00 Koncert popularny 16.45 „Marynarka, czy lotnictwo" — odczyt 17.00 Muzyka salonowa w wyk. Kwartetu Rozgłośni Krakowskiej 18.50 „Wakacje, które trwają długo", — feljeton 19.00 „Trzy po trzy" — koncert rozrywkowy 20.00 Teatr Wyobraźni: „Obrazki z życia Śląska" 21.00 Nasze pieśni 21.30 Koncert kameralny z Krakowa 22.15 Muzyka rozrywkowa i taneczna.

Piątek, dnia 18 września 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.23. Muzyka węgierska (płyty) 16.00 Orkiestra kameralna Adama Hermana 17.00 Koncert rozrywkowy 19.10 Sześć pieśni ludowych w układzie Maurycego Ravela 19.30 „Pół godziny mandolin" — koncert 20.00 Recital fortepianowy Gizeli Binz 21.00 Koncert wieczorny 22.15 „Album starych widokówek" — lekka audycja muzyczna 22.50 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 19 września 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.23 Koncert w wyk. Orkiestry Kameralnej Tad. Seredyńskiego 14.30 Muzyka lekka 15.45 „Ze śpiewem przez Polskę": Romantyczność nad Świtezią" audycja dla dzieci 16.00 Koncert solistów 17.00 Nowości z płyt 19.00 Koncert w wyk. Kapeli Ludowej Feliksa Dzierżanowskiego 20.15 Audycja dla Polaków zagranicą 21.00 Pół godziny muzyki fortepianowej Claude Debussyego 21.30 „Sprzedam kamień" humoreska radjowa 22.15 Koncert Orkiestry Kameralnej 23.00 Muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Konikówka

ul. W. Mataczyński — Łysinin

Dum	zny	każ	swo	po
być	gę	nym	wi	dy
czy	lak	po	wi	jej
tę	nien	oj	po	dząc

Ruchem konika szachowego odczytać treść.

Po nitce do kłębka

ul. W. Bultrowicz — Gniezno

Dodając do pewnej litery po jednej literze, należy znaleźć 5 wyrazów o podanym niżej znaczeniu.

1) Pierwsza litera alfabetu.
2) Miara powierzchni i gruntu.
3) Imię papugi.
4) Mieszkaniec Arabji.
5) Dwukołowy wóz Kirgizów.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 18 września br.

Rozwiązanie zadań z numeru 35 „Moich Powieści": Łamigłówka literacka: 1. W zaraniu, 2. Owruczanin, 3. Bajronista, 4. Waligóra, 5. Czarne błoto, 6. Stach z Konar; 7. Pan Wołodyjowski. Całość: Zaczarowane koło. Przemiany: 1. Nora, 2. Pora, 3. Para, 4. Paka, 5. Pakt.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Jerzy Walczak — Swarzędz, Józef Jankowski — Krobia, Witold Zawadzki — Łódź, Aniela Włodkówna — Kalisz, Pelagja Nowakówna — Skarszewy, Antoni Sentler — Gdynia, Kazimierz Wojakowski — Poznań, Łucja Bogacka — Gniezno.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Anieli Włodkównie z Kalisza i Kazimierzowi Wojakowskiemu z Poznania.

Raj kobiet

Jak powinna wyglądać elegancka pani wieczorem?



J.71 122 J.71 094 J.71 093

J 71 122 Niezwykle elegancka wieczorowa sukienka z czarnego aksamitu. Wstawienie z łososiowej crepe georgette i kwiat na ramieniu w takim samym kolorze.

J 71 094 Elegancka sukienka z błękitnego crepe — satin. Wstawienie z srebrnej koronki i piękny, srebrny kwiat.

J. 71 093 Bardzo oryginalna sukienka z różowego, błyszczącego jedwabiu. Kołnierz z złotej koronki i złoty kwiat.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji w cenie 1,90 zł.

Najmodniejsze suknie wieczorowe

Najmodniejszym materjałem na suknię wieczorową jest bezwątpienia w tym sezonie aksamit i tafta.

Z aksamitu szyje się także i suknie popołudniowe i wizytowe, tafta zaś jest wyłącznie materjałem wieczorowym — jeśli chodzi o suknie. Bluzki zaś z tafty mają charakter wizytowy, czasem jednak w połączeniu z jedwabiem lub aksamitną spódnicą mogą stworzyć strój wizytowy.

Kolor wieczorowych sukien? — Jak zwykle dużo czarnego — może najwięcej. Dużo też białego. potem idzie zieleń, ciemno-wiśniowy i granat.

Tafty, te najmodniejsze tafty mienią się prześlicznie różnobarwnym połyskiem. Nadają się najlepiej na suknie stylowe.

Naturalnie wszystkie suknie wieczorowe są długie do ziemi. Niektóre mają lekki tren. Obcisłą linja tych sukien rozszerza się dopiero ku dołowi. Suknie stylowe z tafty są szerokie suto marszczone już od talii.

Dekolty wciąż są jeszcze bardzo skąpe albo zgoła nie istnieją z przodu. Za to plecy ciągle obnażone. Chociaż — najmodniejszy jest podobno dekolt karo. Dużo sukien wieczorowych ma rękawy — albo krótkie sute bufki do łokcia, albo niemniej sute rękawy trzyćwierciowe.

Suknie prawdziwie balowe rękawów wcale nie mają. Natomiast nieodzownem uzupełnieniem balowei toalety jest sortie. Sorties są najprzeróżniejsze. Więc do wspaniałej sukni balowej wielkiej damy będzie to wspaniała cape z gronostajów lub lamy z białemi lisami, skromniejsze będą z koronki jeszcze skromniejsze z aksamitu lub też poprostu z tego samego materjału z którego mamy uszytą suknię.

Ozdobą najmodniejszą tegorocznej sukni wieczorowei są bezsprzecznie kwiaty Kwiaty barwne, precyzyjnie wykonane nadają wiele uroku świeżości każdej wieczorowej toalecie. Również modne są grube sznury lśniące z chwastami, łańcuchy, duże bardzo duże podłużne klamry do paska.

Kwiaty będziemy podobno także nosić w tym karnawale we włosach. Więc powrót do mody naszych babek?

Ze świata

Drzewka, które gwiżdżą i żarzą się

Wyspą znaną z bogactwa i oryginalności swej flory jest Jamajka. Rośnie tam szereg osobliwych roślin, które stanowią przedmiot zdumienia turystów. Ostatnio botanicy odkryli na terenie Jamajki drzewo „gwiżdżące". Drzewo to wydaje lekki dźwięk, podobny do głosu ptaka, kiedy najlżejszy wiaterek muśnie jego gałęzie. Ponadto w czasie ciemnych nocy widoczne są zdaleka czarodziejskie drzewa żarzące się, których kora posiada właściwości fosforyzujące. Na Jamajce rośnie również drzewo, zwane „drzewem masłowem", gdyż żywica jego bardzo podobna jest do masła. Najsłynniejszem jednak drzewem Jamajki jest „drzewo krwawiące", którego sok ma ciemno czerwone zabarwienie i które otaczane jest przez tubylców specjalnym kultem, ponieważ według legendy drzewo to „krwawi" w niektóre dni w roku.

Zaginiony ląd — jest na mapie, ale niema go na ziemi

Pisma norweskie z ożywieniem omawiają dziwne okoliczności dostrzeżone przez załogę statku rybackiego Thoshan. Według bowiem jej słów, miejsca oznaczone dotychczas na mapie, jako ląd stały, jak naprzykład okolice Enderby i Ziemia Cesarza Wilhelma, nie istnieją wcale i znajduje się tam woda. Z Ziemi Wilhelma, pozostała tylko część, która świadczy wyglądem swoim o niedawnym kataklizmie. Również Ziemia Królowej Marji wygląda inaczej niż dotychczas i dają się zauważyć wielkie szczeliny. W miejscu zaginionej części Ziemi Wilhelma głębokość morza wynosi około 2.500 metr. Kapitan statku w swym kablogramie zapewnia, że nie może być mowy o żadnej omyłce, gdyż załoga kilkakrotnie sprawdzała stan rzeczy, pragnąc się upewnić czy obserwacje były właściwe.

Piękność matki i czworga dzieci — źródłem poważnych zarobków

Za najwięcej razy fotografowaną rodzinę w Anglji uchodzi zamieszkała w hrabstwie Surrey w miasteczku Ewell rodzina państwa Williamsonów.

Tak się złożyło, że rodzina ta, składająca się z ojca, matki i czworga dzieci uzyskała już nagród za piękność w sumie 500 funtów (10 tysięcy złotych).

Dziennikarz, który odwiedził tę rodzinę, miał wielki kłopot, gdyż nie wiedział która z dwu młodziutkich kobiet, siedzących w pokoju, jest panią Williamson, a która jej osiemnastoletnią najstarszą córką Patricją.

Młoda matka czworga dzieci powiedziała:

— Mam czworo dzieci. Najstarsza Patricja ma lat 18, następnie Szeila 16, Lorna 13, a najmłodszy i jedyny chłopiec Terry dziesięć lat.

Wszystkie one obdarzone są wyjątkową urodą.

Oto, lista nagród za urodę osób zgromadzonych w jednej rodzinie:

Pani Williamson jeszcze jako panna otrzymała 10 funtów nagrody na konkursie piękności w swem miasteczku, poczem zarabiała jeszcze na swej urodzie, służąc za modelkę do fotografii reklamowych.

Patricja, mając cztery lata, dostała I nagrodę na konkursie pięknych dzieci i twarzyczka jej służyła potem za obrazek na kartach, zawiadamiających o narodzinach dziecka w rodzinie.

Szeila, gdy miała kilka miesięcy, dostała I-szą nagrodę jako „najpiękniejsze niemowlę".

Lorna jest obiektem najchętniej fotografowanym przez reklamowych fotografów na wielkie plakaty.

Terry służy oddawna za model do plakatów reklamujących ubranka chłopięce.

Ojciec tej całej rodziny, również przystojny, pan Williamson jest urzędnikiem prywatnym.

— Moja rodzina robi co może, by mi pomagać finansowo — mówi on — Ppiękne twarze mojej żony i moich dzieci przyniosły już wielkie zarobki

Świat i życie

Pomniki na służbie

Hollywood, w sierpniu.

Każdy wie, że Hollywood jest rajem, czarodziejskim ogrodem, krainą z bajki. Nie chcę poddawać wątpliwości tego pewnika, gdyż dałoby mi to rozgłos zrzędnego opozycjonisty. Zadowolę się stwierdzeniem, że niema na całym świecie nowoczesnego miasta, które stałoby na bardziej zapuszczonej, odstręczającej i nieurodzajnej ziemi niż Hollywood.

Była tu pustynia — zanim nie osiedlił się przemysł filmowy ze względu na warunki świetlne i brak deszczu — i pustynia pozostała.

Czemuż jednak szczęśliwe współżycie sztuki i bogactwa nie miałyby i na tym gruncie wybudować pełnych smaku pałacyków, otoczonych barwnemi ogrodami, podziwianemi z zachwytem w pismach ilustrowanych. Jednak uważamy za nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że wszystkie wille są najgorszego gatunku kiczami, a ogrody składają się z ogródkowej zieloności.

Żadnego plenerowego zdjęcia nie można zrobić na tle krajobrazu Hollywoodu, a sceny miłosne i polowanie „kręcone" tutaj nie miałyby powodzenia kasowego.

W samym Hollywood nie rośnie trawa, ale w atelier reżyser może, oczywiście, to zarządzić, i tam — gdzie wczoraj wznosiła się sala średniowiecznego zamku — rośnie dzisiaj bujna trawa w żądanych wymiarach. W ten sposób przedstawiają się kawałki murawy przed niektóremi willami, na ulicach, które nazywają się bulwarami umieszczono nawet palmy, eukaliptusy, drzewa pieprzowe. Tej murawy i tych drzew nikt przez noc nie uprzątnie, pogoda szkodzi im równie mało, jak pomaga, a ukraść — któżby mógł ukraść taką florę!

Zamki na wzgórzach, to poważny gotyk, późny gotyk z 1925 roku po narodzeniu Chrystusa, ze strzelnicami dla kusz, mostkami zwodzonemi dla jeźdźców i wieżami dla grających fanfar strażników. Ale góry, na których wznoszą się te dumne skalne gniazda, są prawdziwe :ich szerokość i wysokość przypomina śmietniska lub stosy odpadków.

Wszystko jest prowizoryczne. Naprzykład domy mieszkalne, jednopiętrowe, pokryte dachówkami, w hiszpańskim stylu, doniczki z kwiatami pod każdym okrągłym oknem oraz parterowe domy handlowe, — wszystko to zbudowane z gotowych okrągłych części drewnianych. Między domami zieją kilometrowe luki. Gdzie, zapytuję można nakleić plakaty, nierozłączne z każdym porządniejszym bulwarem, jeśli niema też ścian? Właśnie, luki pomiędzy domami wypełnia się ścianami, przeznaczonemi na plakaty. Lecz oto nowy środek reklamy rozpoczął w Hollywood swój triumfalny pochód przez Stany: pomnik w służbie reklamy.

Zaczątki tego pomysłu używania rzeźby dla wzmożenia przypływu klientów istniały już w Ameryce: Towarzystwa akcyjne, handlujące nadającemi się do propagandy towarami, stawiały na publicznych placach pomniki swym najzręczniejszym prezesom, którzy jednak musieli już nie żyć do tego celu. W Los Angelos i Hollywood kupcy budują swoje pomniki za życia. Stoi naprzykład nadnaturalnej wielkości mężczyzna. Przystępuję bliżej i widzę, że podnosi do ust filiżankę — reklama jakiegoś gatunku kawy. Bronzowy jeździec mknie w bronzowym aucie wyścigowym na bronzowym cokole — nazwa fabryki wyryta jest złotemi literami. Dziewczę z warkoczem doi bawolicę — dla najbliższego sklepu z mlekiem Statek płynie po falach postumentu — korzystajcie tylko z tego towarzystwa okrętowego. Tam posąg Świętego Jerzego na koniu, zabijającego smoka, — mądra reklama drogerii, sprzedającej gorące kiełbaski, zimne napoje i powieści brukowe. Jeśli rzeźby, dlaczegoż nie architektura? Budujemy reklamy. Od filmu nauczyliśmy się, jak buduje się do filmu. Cukiernie są wiatrakami, których skrzydła obracają się, sklep z lodami ma wygląd maszynki do lodów z kręcącą się korbą.

Nie zawsze jest zrozumiała ta logika budowlana. Dlaczego restauracja ma kształt twardego kapelusza, dlaczego największe kino Hollywoodu jest zbudowane na modłę teatru chińskiego, dlaczego nabożeństwa żydowskie odbywają się w ozdobionym krzyżem kościele jakiejś sekty amerykańskiej... stop! O małom się nie zbłamował. Ten ozdobiony krzyżem budynek jest rzeczywiście kościołem, a nie synagogą, jedynie w święta żydowskie zasłania on swoje ołtarze i wynajmuje się pobożnym przemysłu filmowego. Jeszcze przed paru laty był oddawany jedynie na dzień sądny, ale okazało się korzystnem dla obu stron odnajmowanie go na wszystkie święta żydowskie. Oczywiście za okrągłą sumkę dolarów.

Bardzo miłym miejscem jest Hollywood, zarówno jego dary naturalne, jak i architektura, rzeźba i wogóle kultura, i widzimy raz, skąd czerpie źródło duchowa strona jego filmów.

O miejscu tem, o którem powiedziano więcej niż o jakiemkolwiek innem na obu półkulach, nie można już więcej powiedzieć — aby odwrócić powiedzenie Hamleta — jest zaludnione przez błaznów i fałszerzy historii. E. E. K.

HIGJENA I ZDROWIE

Plaga znachorstwa

Zdawałoby się, że w miarę rozwoju nauk lekarskich zaufanie do znachorów powinno coraz bardziej wygasać, a ilość znachorów — zmniejszać się. Tymczasem, tak nie jest. Rozwój medycyny zmusza conajwyżej znachorów do stosowania coraz to nowych i coraz to bardziej wymyślnych i złożonych metod leczenia.

Lekarz oficjalny, zanim przystąpi do leczenia pacjenta stara się najpierw rozpoznać chorobę, na zasadzie całego szeregu jej objawów, wygląd zewnętrzny odgrywa przytem naogół rolę podrzędną. Znachorowi natomiast najczęściej mało zależy na prawidłowem rozpoznaniu choroby, a cały nacisk kładzie on raczej na leczenie, które stosuje zazwyczaj szablonowo — według pewnej określonej metody — niezależnie od rodzaju choroby.

Znachorzy, którzy próbują rozpoznać chorobę przed jej leczeniem, posługują się w celach diagnostycznych najrozmaitszemi sposobami, dbając o to, aby były one mniej lub bardziej „cudowne" i tajemnicze. Wielką rolę w stawianiu „rozpoznania" przez znachora odgrywa wygląd zewnętrzny chorego, jego postawa, wyraz twarzy, barwa oczu, wygląd ręki; niektórzy znachorzy posługują się specjalnemi metodami „badania" kręgosłupa, włosów itp.

Znaczna większość tych metod badania jest obliczona jedynie na niesamowitość i niezwykłość i nie posiada żadnej istotnej wartości. Nie ulega jednak wątpliwości, iż niekiedy znachor posiada rzeczywiście nadzwyczajnie wyrobiony zmysł spostrzegawczy, który pozwala mu dostrzec pewne objawy choroby w wyglądzie zewnętrznym chorego, objawy, które dostrzeże oczywiście również spostrzegawczy lekarz; niekiedy rozpoznanie na podstawie takich objawów zewnętrznych bywa istotnie słuszne. Nie można też wyłączyć możliwości, że podświadome myśli chorego mogą niekiedy działać telepatycznie na umysł badającego znachora.

Metody lecznicze znachorów są rozmaitego rodzaju. Jedni opierają się na pewnem doświadczeniu, a nawet poważniejszych badaniach — i te posiadają czasami rzeczywistą wartość leczniczą; znaczenie innych — wyraża się jedynie w oddziaływaniu na psychikę chorego; jeszcze inne wreszcie — są albo bez znaczenia dla chorego, albo też przynoszą mu zdecydowaną szkodę.

Do metod, które posiadają często uzasadnienie, należy leczenie ziołowe, klimatyczne, dietyczne, wreszcie zapomocą ćwiczeń fizycznych, elektryzacji itd. Leczenie ziołami może niekiedy wywierać korzystny wpływ na stan chorego, np. w przypadkach zaburzeń trawiennych. Dlatego zioła są stosowane również i w medycynie oficjalnej. Ujemna strona leczenia ziołami polega na tem, że olbrzymia ich większość nie jest dokładnie poznana. Także elektryzacja, masaże, ćwiczenia fizyczne, wodolecznictwo — mogą dawać w całym szeregu przypadków — zwłaszcza w zaburzeniach nerwowych — niezłe wyniki. Zasadniczą wadą znachorów jest jednakże stosowanie przez nich przeważnie jednego i tego samego, uniwersalnego środka we wszystkich chorobach.

Niewątpliwie także wpływ, psychiczny, jaki wywiera znachor na ufającego mu pacjenta — posiada często bardzo duże znaczenie dla samopoczucia chorego, znaczenie, które wprawdzie nie może wyleczyć chorego w przypadkach chorób organicznych, które jednakże wpływa dodatnio na stan psychiczny i nerwowy pacjenta.

W zaufaniu, jakiem pacjenci darzą znachorów, zaufaniu często o wiele większym, niż zaufanie do oficjalnego lekarza — dużą rolę odgrywa niewątpliwie umiejętność postępowania z chorym. A znachor umiejętność taką posiada w bardzo wysokim stopniu. Musimy szczerze przyznać, że niestety lekarz nie zawsze stoi na wysokości zadania, zwłaszcza zaś często nie umie podejść do pacjenta, nie umie go przekonać o słuszności swego rozpoznania i leczenia; a nawiązanie ścisłych więzów psychicznych między lekarzem a pacjentem jest bardzo ważnym czynnikiem, sprzyjającym leczeniu.

W dodatku w przypadkach nieuleczalnych lub bardzo przewlekłych chorób, lekarz zazwyczaj otwarcie, a niekiedy nawet dość brutalnie odsłania przed pacjentem lub jego rodziną smutną prawdę o trudnościach, ewentualnie niemożliwościach wyleczenia. A przecież każdy człowiek pragnie żyć i nawet wiedząc, o nieuleczalności swej choroby — pragnie się łudzić, że znajdą się jeszcze jakieś środki, które będą go w stanie uratować. Taki nieszczęśnik, którego już opuścili lekarze oficjalni, nie ma nic do stracenia i pozostaje mu tylko jedno — szukać ratunku u znachora, który mu zawsze obieca, że go wyleczy.

Porad lekarskich u znachorów zasięgają nietylko ludzie prości; istnieją znachorzy o wielkiej sławie, cieszący się ogromnem powodzeniem nawet wśród najwyższych sfer społeczeństwa.

Wśród znachorów spotyka się sporadycznie ludzi o bardzo rozległej wiedzy i inteligencji, którzy nierzadko przynoszą rzeczywistą ulgę — szukającemu porady choremu. Szczególnie dla chorych na najrozmaitsze zaburzenia nerwowe — znachor, który potrafi wczuć się w psychikę chorego i na psychikę tę wywrzeć odpowiedni wpływ — staje się poprostu cudotwórcą. Znaczna jednak większość znachorów, to ludzie mało inteligentni, szarlatani, których „nauka" polega na umiejętności wykorzystywania naiwności ludzkiej.

Głupia Jewka

(NOWELKA).

— „Bacińska! Bacińska idzie!" — rozległy się głosy, wśród gromady wieśniaków, rozłożonych wygodnie na murawie i wygrzewających się w niedzielnem słonku.

— „Bacińska! a chodzież — no!" — zawołała jedna z kobiet.

Idąca drogą, stara żebraczka, przystanęła na moment, a potem zbliżyła się szybko do leżących.

— „Pochwalony! A czegoż?" — spytała naciągając chustkę na oczy.

— „Dawnoście już tu nie byli... co u was słychać?" zagadała ta sama kobieta.

Bacińska usiadła ciężko na murawie i milczała ponuro. Starsi przyglądali się jej w cichem milczeniu, bo pamiętali ją jeszcze z czasów, gdy była młodą, piękną dziewczyną, zakochaną po uszy w urodziwym Stefku Mielczarzaku.

Dziwna była historja tej miłości. Z początku Stefek asystował pięknej Ewce Bacińskiej, obiecywał małżeństwo, a później porzucił ją nagle dla czarnej Anielki Zaradzianki, córki bogatego gospodarza z sąsiedniej wsi.

Ewka pozostała sama — aż do chwili przyjścia na świat maleńkiej Marty...

Stefek nie wrócił już nigdy do Ewki, ożenił się z czarną Anielką i co roku, na Św. Michał, przysyłał Ewce pieniądze na wychowanie Marty.

Ewka nie wyszła już za mąż, chociaż ubiegano się o nią we wsi na wyścigi, bo słynęła na okolicę ze swej krasnej urody. Uparła się i nie wyszła!

Zerwała zupełnie z rodziną po przyjściu na świat Marty i zamieszkała daleko za wsią, w nędznej chacie po smolarzu, który umarł na jesieni na zapalenie płuc.

Z tego, co przysyłał jej Stefek i z pracy własnych rąk wychowywała maleńką Martę na śliczną i zdrową dziewczynę. Marta była wszystkiem dla Ewki. Miała duże, błękitne oczy, takie same, jak Stefek i płowe lśniące włosy — włosy Stefka.

Ewka była śmiesznie zazdrosna o swą córkę, do tego stopnia, że drżała, gdy ktoś na nią spojrzał i trzymała ją zawsze zdaleka od ludzi. Pomimo wszystko nie ustrzegła jednak córki...

Marta pokochała i zapragnęła wyjść za mąż. I wtedy przyszło nieszczęście. Ewka przeklęła córkę, wzięła do ręki kij i poszła w świat. Od czasu do czasu przychodziła do Brzezinek, lecz nigdy nie zachodziła do chatki za wsią, w której mieszkała Marta z mężem. We wsi mówili wszyscy, że „Jewka zgupiała." Istotnie! — robiła wrażenie wariatki. Chodziła zawsze pochylona, mrukliwa, a niech no ktoś zakrzyknął — „Hej! Bacińska — zaśpiewajcie!" — odrazu przystawała, zaczynała się kręcić w kółko i nucić jękliwe zawsze tę samą piosenkę:

Sikoreczka — mały ptaszek,
Odjechał mnie mój chłopaszek,
Jak odjechał, tak przyjedzie,
Będzie u mnie na obiedzie...

— „Bacińska! Pójdziecie to do Marty? Chore jej dziecko ...powiedziała znowu któraś z kobiet do siedzącej na ziemi żebraczki.

Stara poruszyła się niespokojnie, spójrzała dziko na mówiącą i zaśpiewała swoją odwieczną piosenkę „Sikoreczka — mały ptaszek"...

— „Bacińska! zatańczcie!" — zakrzyczały odrazu dzieci. Obstąpili ją wszyscy wokoło, zaczęli podjudzać do śpiewu i tańca i śmiać się na całe gardło z jej apatycznych pląsów i podrygiwań...

Po godzinie głupia Jewka odeszła z swoją piosenką prościusieńką drogą, prowadzącą do chaty za wsią Droga tą, po rozstaniu z Martą, nie chodziła nigdy...

W niskiej izdebce — w tej samej kołysce, w której za dawnych lat sypiała maleńka Marta — umierało dziecko. Na ziemi, przy kołysce, leżała skulona postać młodej kobiety.

— „Gdzie Paweł?" — rozległ się chrypliwy głos od proga.

Kobieta podniosła się z ziemi i zatrzęsła...

— „Zapewnie przyszłaś się naigrawać ze mnie?... Ha! spełniło się twoje przekleństwo — ona musi umrzeć"... powiedziała z goryczą młoda kobieta i wskazała na kołyskę.

— „Gdzie Paweł?" — powtórzyła tamta — niech tu zaraz przyjdzie, to mu cosik powiem"...

Przyszedł w parę minut, wyszukany przez żonę.

— „Po dochtora! Zaraz jedź po dochtora — powiedziała gorączkowo Bacińska i rozplątała brudny gałganek. Posypały się na stół złotówki i drobniejsze monety. Wszystko wsunęła oszołomionemu chłopu w garść i wypchnęła go za drzwi.

— „Jak jej imię?" — pochyliła się po chwili nad kołyską dziecka.

— „Jewka!" — odpowiedziała Marta i głośno zaszlochała.

W kilka godzin później przybył lekarz, zbadał dziecko, zapisał lekarstwo i odjechał. Minęło kilka ciężkich dni, w czasie których mieszkańcy chatki za wsią, nie zmrużyli oka, aż do chwili, gdy chora Ewka otworzyła przytomnie oczęta i leciuchno się uśmiechnęła. Cudowna to była chwila! Marta rzuciła się na szyję Pawłowi i załkała ze szczęścia. a babka — gdy zobaczyła śliczne spojrzenie bławatkowych cząt — zaśmiała się dziwnie i zaczęła gaworzyć z dziecinią: „Ewunia — zdrowaś to ptaszku, — zdrowaś?..." I całowała chude rączyny, zlepione, płowe włoski i sine nóżki...

Po południu, tego samego dnia, ujęła swój żebraczy kij, włożyła na plecy sakwy i skierowała się do drzwi.

Upadła jej do nóg Marta, prosił Paweł, by została z nimi, ale nic nie pomogło! Odeszła!... Pochyleni nad kołyską, Paweł i Marta, długo słyszeli dochodzącą z za okna jękliwą pieśń „głupiej Jewki".

Sikoreczka — mały ptaszek,
Odjechał mnie mój chłopaszek,
Jak odjechał tak przyjedzie,
Będzie u mnie na obiedzie...

Mira Tomaszewska.

Ale nagle wzdrygnął się Robber, wpadła mu do głowy błyskawicą ta myśl, że może to tylko zasadzka, — wiedział on o tem dobrze, że często obwinionych zwodzili w ten sposób, chcąc wydusić z nich zeznanie.

„Wszak prawda, wyszliście przecież z domu Ralf Ravingtona?“ ciągnął dalej komisarz policji, „baronet przyjął was w swojem domu za naszą wiedzą i pozwoleniem i wyznaczył wam godzinę siódmą wieczór, uwiadamia nas zarazem, kiedy mamy na was czekać!“

Teraz był Robber przekonanym. To mógł zdradzić policji tylko Ralf Ravington. Zakrzyknął dziko i zawołał ochryple:

„Dobrze, kiedy Ralf Ravington zdrajcą, nie mam powodu osłaniać dalej tajemnicy. — Proszę pisać, panie komisarzu!“

Uroczysta cisza zapanowała. Komisarz pochwycił za pióro. Po półminutowej przerwie, początł Robber w następujący sposób swoje zeznanie:

„Ja, — Alfred Robber — poświadczam niniejszem, że razem z moim wspólnikiem zwabiłem doktora Blacka do gospody „pod białym słoniem“ i tam go zamordowałem. To stało się z polecenia baroneta Ralfa Ravington, który chciał się koniecznie pozbyć adwokata, aby mu tenże nie bruździł w jego sprawach spadkowych. To zeznanie składam dobrowolnie i przyobiecuję, że go nigdy nie odwołam. Jako dowód, że mnie Ralf Ravington najął do tego morderstwa, posłuży banknot na tysiąc funtów szterlingów, który znajduje się w mojej kieszeni.“

Alfred Robber umilkł. Lekki zawrót głowy o mało go nie zwalił z nóg. Redaktor podsunął mu prędko krzesło, na którym zbrodniarz usiadł ciężko. Wiedział dobrze o tem, że tem wyznaniem skazał się sam na śmierć. — Ale tę jedną satysfakcję miał przynajmniej że ten sam los czeka fałszywego baroneta.

Komisarz zawołał czterech policjantów i rozkazał zdjąć łańcuszki z rąk Robbera, poczem wskazując na pióro odezwał się do złoczyńcy:

„Podpiszcie, Alfredzie Robberze!“

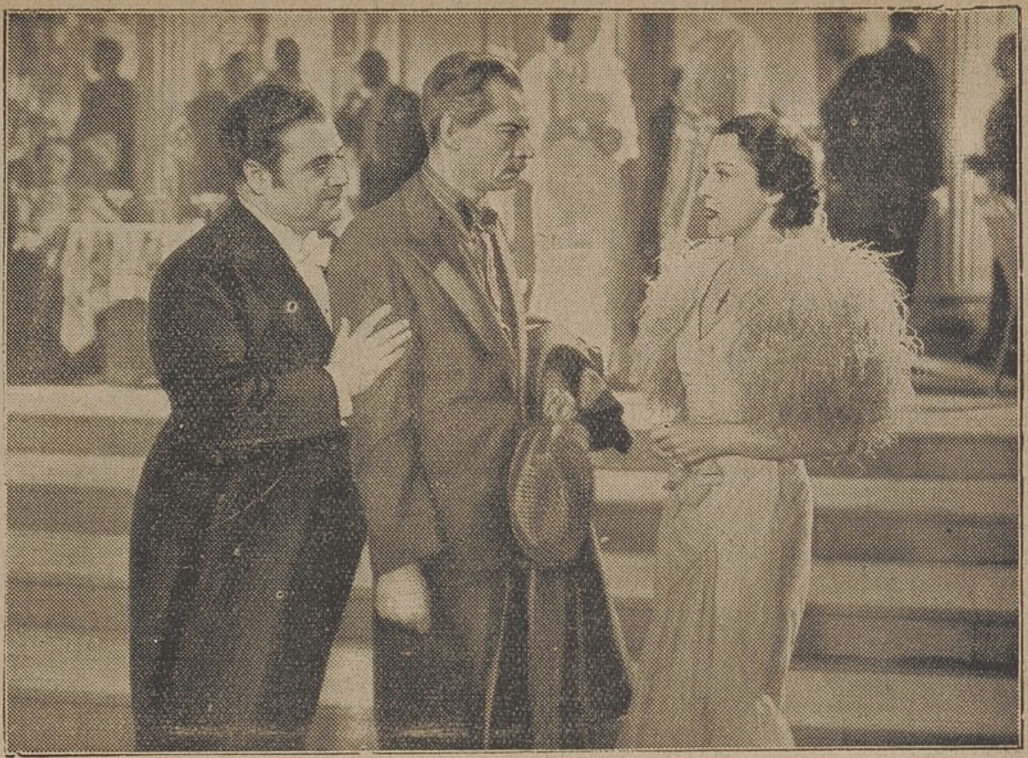
Bandyta posunął się ciężkim krokiem, jak złamany starzec, chwiejnie do biurka i schwycił za pióro. Drżał tak gwałtownie, że musiał chwilę zaczekać, zanim położył swój podpis pod tak ważny dokument.

Wreszcie i to zostało załatwionem. Nałożyli mu powtórnie kajdanki na ręce i przeszukali mu kieszenie.

Przy tej wizytacji znaleziono u niego banknot na tysiąc funtów szterlingów i resztę z otrzymanych również od Ralfa Ravingtona stu funtów.

„Tak, mój przyjacielu,“ zawołał komisarz policji, jak tylko go starannie okuli i zrobili bezpiecznym, — „teraz pojedziecie do Toweru, gdzie przeczekacie czas waszego śledztwa. Dla świadectwa prawdy muszę tylko nadmienić, że Ralf Ravington was nie wydał. — Przeciwnie, on nawet nie przeczuwa, jakie niebezpieczeństwo wisi nad jego głową, — zresztą i on zostanie jeszcze dzisiejszej nocy uwięziony.“

Alfred Robber zaśmiał się dziko.



W Berlinie wyświetlono ostatnio przepiękny film — „Ave Maria“ — z Benjaminem Gigli, Pawłem Henklesem i Käthe von Nagy.

„A więc przecież dałeś się wywieźć w pole!“ zawołał z ironją sam do siebie. „Ach, głupcze Robberze, tak stary jesteś i pozwalasz się jeszcze podejść! Ha, czyńcie ze mną, co się wam podoba. Tylko każcie mnie stąd wyprowadzić. Nie chcę was widzieć! — Bądźcie przeklęci, — niech was piekło pożre! — Ja gotów jestem umrzeć, — skończyłem z życiem!“

W tej chwili pociągnął jeden z urzędników za łańcuszek u nogi skutego. Zbrodniarz padł jak długi na ziemię, — tłumem rzucili się na niego policjanci, wynosząc go na rękach z pokoju.

„Moi panowie,“ zawołał komisarz do policji, „słyszeliście wszyscy zeznanie zbrodniarza i możecie potwierdzić w razie potrzeby przysięgą, że złożył je dobrowolnie, nie pod przymusem.“

„To możemy zaprzysiąc“! zawołał redaktor. „Ale proszę nam powiedzieć, co pan postanowił względem baroneta? — Ja na pańskiem miejscu nie zwlekałbym ani godziny z aresztowaniem tego panicza, bo nużby on tymczasem zwąchał pismo nosem i szukał ratunku w ucieczce?“

„To niemożliwe,“ odparł komisarz, „dziesięciu moich ludzi, pod najrozmaitszemi przebraniami czuwa koło jego domu. Gdziekolwiek się ruszy, — pewni moi pomocnicy pójdą za nim krok w krok. Zresztą dzisiaj w nocy mam zamiar go zaaresztować. Jeżeli panowie zechcą zobaczyć tę tragikomedję, to zapraszam panów do współudziału,“ dodał komisarz policji, uśmiechając się zlekka. „Zresztą mam jeszcze obowiązek podziękować panom za dzielną pomoc, jakiej mi panowie użyczyli. To nielada ptaszek, którego dostaliśmy obecnie w nasze ręce. Kat londyński będzie się cieszył tym naszym połowem!“

„A teraz, moi panowie,“ dodał komisarz po małej przerwie, „muszę się sam przekonać, jak umieścili Alfreda Robbera, — względem takiego osławionego opryszka nie można zgrzeszyć zbytnią ostrożnością. — Jutro wprawdzie przetransportuje się go do więzienia Toweru, skąd ucieczka wykluczona, ale dzisiaj musi całą noc przebyć u nas pod strażą, a myśmy nie przygotowani na takich zbrodniarzy. — Zresztą musi nam jeszcze powiedzieć, gdzie się znajduje jego wspólnik, — czcigodny doktor Morizano. Myślę, że nasz ptaszek będzie teraz właśnie w stosownem usposobieniu, aby zeznać i resztę.“

„Chodź pan, kochany panie Remy,“ odezwał się Zygmunt Sokolski, kładąc rękę na ramieniu młodego człowieka, „musimy pospieszyć do Elżbiety i Maud, aby ich zawiadomić o zaszłych faktach, — że nam się uwięzienie Robbera udało!“

„A pan, panie redaktorze,“ odezwał się Zygmunt, zwracając się do zagadnięrego, „pan zapewne będzie nam towarzyszył?“

„Ja,“ odpowiedział spytany, „ja spieszę zarówno do redakcji i sporządzam artykuł, który jutro ogromną sensację wywoła. Będzie miał tytuł:

„Alfred Robber, najniebezpieczniejszy zbrodniarz tego wieku, ujęty.“

— — — — — —

— — — — — —

Doktor Henryk Haler nie próżnował przez ten czas.

Jak tylko omówił wszystkie bliższe rozporządzenia ze swoją żoną i zadecydował, żeby dla słabego przygotować pokój większy, którego okna wychodziły na ogród, wyszedł natychmiast, aby zająć się przetransportowaniem doktora Morizano do swego mieszkania.

Maryla przysposobiła tymczasem w domu łóżko dla nieszczęśliwego słabego. Wzruszającym był widok tej krzątającej się kobieciny.

Gdyby to był jej rodzony ojciec, doprawdy z większą troskliwością i starannością nie mogłaby przygotować tego wszystkiego.

Haler udał się do szpitala, w którym go znali. Poprosił dyrektora, aby mu pożyczył lektyki i dwóch ze służby, którzyby się rozumieli na przenoszeniu słabych.

Z największą chęcią spełnił przełożony zakładu jego prośbę.

Tymczasem zrobiła się noc, kiedy doktor Haler z dwoma służącymi wstąpił do tego nędznego domku, w którym leżał Morizano. Przeszli przez podwórze i z trudem weszli na górę. Doktor Henryk Haler zapukał do drzwi, które prowadziły do izdebki, w której leżał ciężko chory.

Nikt nie otwierał. Lekarz przekonał się, że słaby znajduje się w środku, ale jego wspólnik opuścił go widocznie i zamknął drzwi na klucz.

„Poczekajcie tu," odezwał się doktor Haler do służby, „muszę pójść po ślusarza, żeby zamek otworzył."

Niedługo zjawił się wraz z rękodzielnikiem. Stary zamek nie dał dużo do roboty. W pół minuty były drzwi otwarte.

Straszny widok uderzył oczy Henryka, wchodzącego do środka. Całe stado szczurów spacerowało po nierównych deskach izby. Wstrętne te stworzenia powychodziły zaraz po oddaleniu się Alfreda Robbera ze swych kryjówek i tuzinami tłoczyły się do biednego słabego, który nie miał sił obronić się tym napastnikom.

Spacerowały po jego ciele, przysiadały mu na twarzy i gdzie się im tylko udało, zagłębiały mu swe ostre zęby w ciało.

Doktor Morizano jęczał i stękał, ale obronić się od wszystkich brakowało mu siły.

Tak daleko zaszedł ten zbrodniczy starzec, — — straszna pomsta nieba — za życia gryzły go plugawe robaki.

Jakby za karę, że z jego winy tylu ludzi było pastwionych, że znęcał się nad tylu powierzonymi słabymi, teraz sam podczas swej choroby był opuszczony, musiał cierpieć najstraszniejsze męczarnie bez pomocy, bez ratunku. Zdawało się, że los sprzysiągł się na niego, aby mu odpłacić hojnie wszystko, co tylko złego uczynił chorym.

Jak tylko Haler wszedł do środka, szczury pochowały się do kryjówek. Dopiero teraz spostrzegł młody lekarz, że doktor Morizano pokaleczony w kilku miejscach na rękach i twarzy i że krew mu z ran cieknie. — Tak strasznie pogryzły go długoogoniaste napastniki.

Haler wzdrygał się. Choćby ten starzec nie był jego ojcem, musiałby się zlitować nad nim.

„Dalej, do dzieła, moi panowie," zawołał Haler do posługaczy, którzy pomimo tego, że już niejedno w życiu swojem służbowem widzieli, przecież na widok tego słabego tak się przerazili, że stali na stronie bezradni, „podnieśmy tego chorego i połóżmy go na nosze, a potem ostrożnie z nim na dół."

Posługacze spełnili rozkaz z widocznym wstrętem i odrazą. Podnieśli chorego z barłogu, który poruszał się dosłownie wskutek robactwa. Wreszcie złożyli go na nosze. Jeden z nich chciał właśnie zawinąć chorego w porządny,



Jury IV. Międzynarodowej Wystawy Filmowej w Wenecji odznaczyło największą nagrodą — pucharem Mussoliniego — niemieckiego reżysera Ludwika Trenkera za film „Cesarz Kalifornii". Fotografja nasza przedstawia Ludwika Trenkera.

szpitalny koc, kiedy prędkie kroki zadudniły po drewnianych schodach.

„Stać, co tu się dzieje?" zawołał jakiś ostry, do rozkazywania przywykły głos. W imieniu prawa żądam odpowiedzi i wyjaśnienia!"

Henryk Haler ujrzał nagle ku swemu przerażeniu komisarza policji przed sobą.

„Kto pan jesteś, mój panie?" zwrócił się komisarz policji z pewnem niedowierzeniem do Henryka Halera, „a jak pan tu przychodzi? Gdzie jest ten mężczyzna, który się mianuje doktorem Morizano i który tu ma mieszkać?"

„Doktor Morizano leży tu na tych noszach," odpowiedział Haler, wskazując ręką na chorego, „ja sam jestem lekarzem i nazywam się Henryk Haler, — zawołano mnie do tego słabego przed paru godzinami. Ponieważ przekonałem się, że słaby ten potrzebuje troskliwej pielęgnacji i czystości, których mu tu brak, postanowiłem go kazać przenieść do szpitala.

„Ci ludzie są posługaczami szpitala, lektyka, na której doktor Morizano spoczywa, jest również własnością szpitala."

„Ach, jeżeli tak się rzeczy mają, mój panie," zawołał komisarz policji z pospiechem, „w takim razie proszę mi wybaczyć, żem tak mocno krzyknął na pana. A więc to jest ten doktor Morizano, osławiony złoczyńca, który nietylko morderstwo, spełnione na adwocie Blacku, ma na sumieniu, ale niezliczone inne sprawki jeszcze. No, doktorze Morizano, aresztuję pana w imieniu prawa."

Chory podniósł nieco głowę. Wpatrzył się szklannemi oczyma w komisarza policji, — widocznie musiał coś zrozumieć, — począł bełkotać językiem jakieś niezrozumiałe słowa, poczem opuścił bezsilnie głowę na poduszkę.

„Panie komisarzu, widzi pan sam jak najlepiej," zawołał Haler, „że ten człowiek niezdolny do indagowania. Całe ciało jego słabe, oprócz tego zraniony ciężko, jednem słowem bliski śmierci."

„Rzeczywiście, tak źle jest z nim?" spytał komisarz, „albo może tylko udaje łotr. W tym wypadku trzeba być bardzo ostrożnym z takimi ptaszkami. Oni znakomicie potrafią grać komedje."

„To jest wykluczonem w tym wypadku, panie komisarzu," odpowiedział Henryk Haler. „Doktor Morizano złamał sobie wskutek upadku kość pacierzową, — to jest najcięższe zranienie jakie medycyna zna wogóle. Strasznie ukarał los tego człowieka."

„W każdym razie muszę tego człowieka kazać przenieść do więzienia," zawołał komisarz policji po krótkim namyśle, „naturalnie zawiozą go zaraz do kliniki, ale z oczu nieśmiemy go więcej tracić. Niech zostanie na tych noszach, ale moi ludzie go wyniosą."

Haler widział, że daremnemby było wszelkie sprzeciwianie się. To zrobiłoby go tylko w oczach policji podejrzanym.

Musiał spokojnie patrzeć na to, jak jego ojca wyniosła policja.

W gorączkowem naprężeniu wrócił do domu. W krótkich słowach opowiedział żonie, co się stało i dlaczego nie mógł chorego wziąć ze sobą.

Młoda kobieta przytuliła głowę stroskanego mężulka do piersi.

„Płaczesz Henryku," odezwała się, spoglądając mu w twarz, „ach, ja rozumiem cię, ale po przejściu pierwszego bólu przecież uspokoisz się i zaczerpniesz powietrza pełną piersią; w każdym razie bytność twego ojca tutaj byłaby ciągłą chmurą na twem czole."

„Tak, on niegodny mych łez," odezwał się Henryk, ocierając łzę z oka, „powinienem nim pogardzić pomimo, że on mym ojcem. Ach, jak to dobrze, że moja poczciwa matka nie dożyła tej chwili!"

CXCV

Nowy boarder

Baronet po wyjściu „czarnowłosego" bandyty Alfreda Robbera pozostał sam jeden. Strasznie głupio mu się zrobiło. Humor jego był wcale różowy.

„Ten Robber zaczyna mi być niebezpiecznym," — mruczał do siebie, spacerując po swoim pokoju tam i z powrotem zamyślony, „a jednak nie mogę tego łotra wyrzucić za kołnierz, bo potrzebuję go koniecznie w celu sprzątnięcia Elżbiety Ravington. Potem będzie jeszcze dosyć czasu zastanowić się nad tem, jakby się pozbyć zupełnie tego draba. Ale tfu, do licha z temi myślami piekielnemi, zwróćmy się lepiej do ponętniejszego przedmiotu, naprzykład do tej pięknej dziewczyny, którą prześladuję od kilku dni. Chciałbym się koniecznie dowiedzieć, co ona za jedna.

„Jeszcze dzisiaj muszę się czegoś bliższego wywiedzieć o niej. Ma mieszkać u madame Barkley. Ta Barkley to wdówka. To dobrze, z wdówkami można się zawsze rozmówić. Jakby to było naprzykład, jakbym zaraz dziś złożył tej madame Barkley wizytę i dowiedział się tak niby od niechcenia, co to za jedna ta moja piękność?"

Z temi słowy na ustach wyszedł z mieszkania.

Na ulicy przywołał zaraz dorożkę, powiedział adres pani Barkley i kazał

się tam zawieść, rozpierając się na miękkich poduszkach, jakby w poczuciu błogich chwil, które na niego czekały.

Naturalnie nie wątpi ani chwili, że mu się uda zbałamucić tę ładną sikoreczkę, którą sobie upatrzył na ulicy...

Miał przecież zawsze szczęście do kobiet, zresztą jak długo portmonetka nie była próżna, był przekonanym o zwycięstwie.

Baronet nie zauważył, że od jakiejś chwili podąża za jego powozem jakaś dorożka, która jedzie w tym samym kierunku, tylko w pewnem oddaleniu od niego.

Może sto kroków od małego, ale czysto utrzymanego domku Mrs. Barkley kazał przystanąć dorożce. Wysiadł i poszedł pieszo.

Dobiwszy celu, pociągnął za dzwonek. Jakaś czyściutko ubrana służąca otworzyła drzwi i wprowadziła baroneta do pokoju przyjęć.

Ralf Ravington nie potrzebował długo czekać. Drzwi otwarły się i do środka weszła mała, ale elegancko ubrana dama o włosach przyprószonych już nieco na skroniach siwizną. Z okrągłej twarzy wyglądała para poczciwych, rozumnych ócz.

„Pan sobie życzy?“ spytała pani Barkley, przystępując bliżej do gościa i przypatrując mu się uważnie.

„Mistres Barkley,“ odezwał się baronet, kłaniając się z gracją, pozwoli pani, że się przedstawię, moje nazwisko Edwin Ralf. Przypadkiem dowiedziałem się, że pani ma w swojem boardingdomu jeden pokój do wynajęcia. Czy to prawda?“

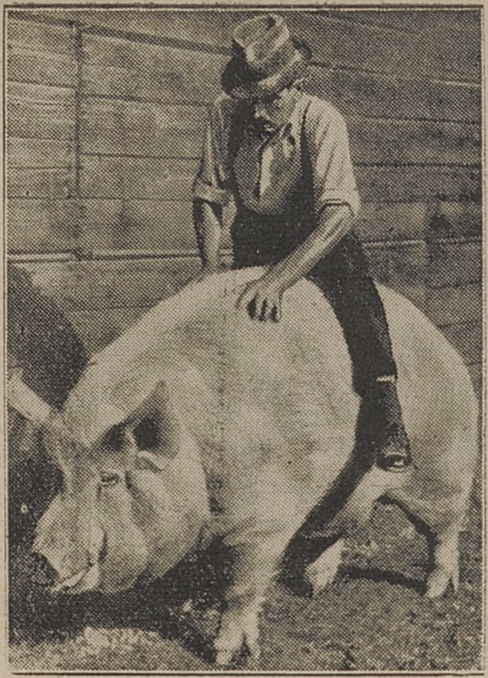
Pani Barkley miała rzeczywiście na piętrze jeden pokój wolny. Mogłaby go była już dawno wynająć, ale nie brała kogokolwiek, kto się zgodził. — była wybredną w wyborze. Bardzo uważała na to, żeby jej boarding-dom słynął z dobrej sławy i nadal.

„To prawda, mój panie,“ odpowiedziała gospodyni, „na piętrze mam jeden pokój wolny. Ale nie wiem, czy on panu się spodoba i czy będzie dość elegancki dla pana. Jak pan widzisz u mnie wprawdzie czyściutko, ale pojedyńczo bez zbytku w meblach i zastawie, wikt mój również nie wybredny, nie dogadzający zbyt wydelikaconemu podniebieniu. Proszę mi wybaczyć, mój panie, ale pan nie wygląda na takiego, któryby się mógł zadowolić mojem pomieszkaniem i wiktem.“

Ralf pukał nieco skonsternowany swoją elegancką laseczką o końce lakierków.

„Ach,“ pani sądzi zapewne, że mój strój zdradza bogatego człowieka?“ odezwał się Ravington z lekkim uśmiechem.

„Hm, jak dotychczas nie jestem jeszcze bogaty, spodziewam się dopiero zostać nim. Przybyłem tu mianowicie ze Szkocji w zamiarze podjęcia przypadłego na mnie spadku i oto dowiedziałem się, że mi wytoczono proces. Dopóki się tą sprawa sporna nie rozstrzygnie, jestem zmuszony żyć pojedyńczo. Widzi pani zatem, że może mnie pani



Na wielkiej wystawie gospodarczej w Wels w Austrii, otwartej przez prezydenta związkowego Miklasa, wystawiono największą i najcięższą świnię Austrii, która waży 450 kg i z łatwością — nosi swego pastucha.

całkiem spokojnie przyjąć w poczet swoich mieszkańców.“

„Jeżeli się pan zadowoli tem, co jestem w stanie zaofiarować“, odpowiedziała pani Barkley, „w takim razie naturalnie jest mi pan miłym gościem. Tylko jeden warunek miałbym jeszcze do postawienia przed przyjęciem pana.“

Ralf Ravington spoglądał na rezolutną małą kobiecinę ze zdziwieniem. Nie spodziewał się wcale natrafić na tyle przeszkód.

„W moim domu mieszkają obecnie dwie młode damy,“ ciągnęła pani Barkley, „nadzwyczaj dystyngowane dziewczęta, których nie chciałabym wystawiać na jakiekolwiek nieprzyjemności. — Wprawdzie zawsze dotychczas baczyłam w moim domu na przyzwoitość i grzeczność, w tym wypadku jednak chcę to jeszcze raz specjalnie zaznaczyć, że wszelkie usiłowanie zbliżenia się do tych dam, oprócz niedających się uniknąć wspólnych obiadów i kolacyj, musi być bezwarunkowo usunięte.“

„Ależ, moja zacna pani Barkley,“ zawołał Ravington, „co też pani sobie o mnie myśli? Naturalną rzeczą jest, że wobec tych dam zachowam jak najzupełniejszy szacunek i poważanie, — może być pani pod tym względem pewną.“

„W takim razie wszystko dobrze. Chce pan zaraz swój pokój zobaczyć?“

„Nietylko chciałbym zaraz zobaczyć, ale i zaraz go zamieszkać“, odpowiedział baronet. „Moje kufry nadejdą wprawdzie dopiero jutro, ale ja zaraz dzisiaj chciałbym tu zamieszkać, naturalnie za opłatą za pierwszy tydzień“.

Przy tych słowach wyciągnął Ralf Ravington portmonetkę i wypłacił żądaną kwotę za pierwszy tydzień gospodyni. W Anglji i w Ameryce płaci się zwyczajnie tylko tygodniowo.

W kilka minut później bawił Ralf Ravington już w nowo najętym pokoju na piętrze. Pomimo, że był on dość elegancko i wygodnie umeblowanym, wydał się młodemu paniczykowi ubogim, ciasnym i niewygodnym, — tak, był przyzwyczajony do swych z całym komfortem urządzonych salonów.

Ralf zasunął za sobą drzwi na zasuwkę, zdjął ze siebie palto i kapelusz i rozłożył się w wygodnym fotelu koło okna.

„Doprawdy to będzie pikantna historyjka“, zaśmiał się po cichu, zapalając papierosa. „Dzisiaj przy kolacji muszę zobaczyć moją małą, naturalnie jakaś sposobność się znajdzie, zawarcia z nią znajomości. Sądzę, że nie będzie bardzo odporna, jakkolwiek ta pani Barkley przysięga się na wszystko, że to ideał cnoty i powagi, ale tak strasznie diabłów nie malują, dostąpić do niej przecież chyba będzie można. Hoho, te kobiety, to strasznie sprytne stworzenia, żadna nie pozwoli drugiej wglądnąć w swoje karty. Wszystko powierzają sobie, tylko o grzechach milczą.

„A gdyby naprawdę się wzbraniała“, mruczał Ravington dalej sam do siebie, — „ha, w takim razie znajdzie się przecież w tym domu sposobność zdobycia fortecy gwałtem. W nocy, jak wszystko śpi, wśliznę się po cichu do jej pokoju i napadnę ją śpiącą. Na drugi dzień ani słowa nie wyjawi z tego, co zaszło, nikomu. Albo zmieni swoje zdanie i da się przekonać, albo wrodzona wstydliwość zamknie jej usta“.

W tej chwili powstał z fotelu i przystąpił do ściany na prawo, która oddzielała go od przybocznego pokoju.

Usłyszał mianowicie za ścianą jakieś głosy. Czujne ucho jego rozróżniło głosy dwóch dam, rozmawiających ze sobą.

Elegancki baronet nie wstydził się przyłożyć ucha do ściany i podsłuchiwać. Chciał koniecznie usłyszeć, o czem tam mówiły te dwie damy, ale pomimo najszczerszych chęci i usiłowań nie mógł zrozumieć ani słowa. Słyszał tylko pojedyńcze dźwięki, ale ułożyć ich w zdania nie potrafił.

Niedługo począł dzwonek alarmować cały dom. — Wołał on wszystkich boarderów pani Barkley do kolacji, do wspólnej sali jadalnej.

Ralf Ravington rzucił jeszcze raz wzrokiem w lustro, aby się przekonać o swem zwycięstwie, poprawił końce wąsów i zeszedł po schodach na dół. Była siódma godzina.

W sali jadalnej świeciła się wielka lampa. Oświecała gustownie nakryty stół, przy którym siedziały dopiero dwie damy, kiedy wszedł Ravington.

Damami temi były Elżutka Rodeń i Anielcia.

Od czasu zagadkowego zniknięcia Kazimierza Zamskiego zamieszkały w Londynie, spodziewając się jeszcze ciągle, że uda im się przecież dotrzeć do miejsca, gdzie tak tajemniczo ukryto hrabiego.

Ach, dotychczas próbowały już wszelkich środków, aby natrafić na ślady zaginionego, ale wszystko napróżno, — wszystko bez rezultatu.

Postanowiły w paru dniach powrócić do kraju. Elza nie chciała za żadną cenę powierzać dalej pielęgnacji nieszczęsnej Almy cudzym rękom.

Obie dziewczyny żyły w zupełnem odosobnieniu, schroniły się tu do tego domu, poświęcając się w zupełności opiece pani Barkley, w której znalazły tak poczciwą, starszą przyjaciółkę.

Z innymi mieszkańcami domu nie przestawały zupełnie. Co najwięcej spotykały się z nimi podczas wspólnych kolacji w sali jadalnej.

Byli to zresztą sami młodzi kupcy albo urzędnicy, którzy z największą rezerwą zachowywali się wobec młodych panien. Żaden z nich nie poważyłby się pod jakimkolwiek pretekstem zbliżyć się do Elzy lub Anielci, pomimo, że piękność ich wzbudzała u wszystkich zachwyt i szacunek.

Tem więcej więc dziwiło Elzę i Anielcię i nieprzyjemnie ich dotknęło, kiedy nowy boarder (mieszkaniec) pani Barkley bez żenady przystąpił do nich i przedstawił im się obcesowo, naturalnie pod zmienionem nazwiskiem „Edwin Ralf."

Anielcia przypomniała sobie natychmiast, że spotkała już była tego mężczyznę gdzieś na ulicy.

Już wtedy rozgniewało ją to bezczelne spojrzenie, jakiem mierzył ją nieznajomy. Zauważyła także, że natychmiast zmienił pierwotny kierunek i poszedł za nią.

Anielcia odpowiadała na pytania, jakie Ralf Ravington w ciągu wieczerze stawiał, bardzo krótko i lakonicznie, możnaby nawet powiedzieć niegrzecznie. Po największej części zbywała je milczeniem.

Jak tylko skończyła się kolacja, cofnęły się Elza z Anielcią natychmiast do swego pokoju. Ralf Ravington podniósł się trochę wcześniej z krzesła i poszedł na górę. Nikt w domu nie przeczuwał, co zły nowy plan wymyślił świeżo przybyły mieszkaniec.

Ralf postanowił mianowicie podsłuchać obie dziewczyny, choćby to Bóg wie co go kosztowało. Ponieważ nie udało mu się to przedtem, wpadł na dziwny pomysł, by zamiar swój urzeczywistnić.

Nikt nie spostrzegł przy kolacji, że młody nieznajomy schował zręcznie trybuszon w swojej kieszeni.

Właśnie stał obecnie przy ścianie, oddzielającej jego pokój od pokoju dwóch młodych dam i majstrował coś koło niej.

Wiedział, że w londyńskich boarding - domach ściany takie są po największej części z drzewa.

Zapomocą korkociąga udało mu się w paru minutach przewiercić dziurę w drewnianej ścianie.

Nie była wprawdzie wielką, ale wystarczała zupełnie do posłuchania rozmowy, prowadzonej w sąsiednim pokoju.

Ale przysłowie, że podsłuchujący nic dowiaduje się niczego dobrego, sprawdziło się i na nim.

Bo to co Ralf Ravington usłyszał z ust młodych panien, nie mogło go wzbić w dumę.



Również młodzi mnisi budyjscy świątyni Aiji-Ji w Japonji przechodzą przeszkolenie wojskowe. Widzimy ich tutaj w mnisich strojach w czasie ćwiczeń.

„Elżutko," zawołała Anielcia, wstępując do pokoju z przyjaciółką, „przypatrzyłaś się dobrze temu nieprzyjemnemu intruzowi, który dzisiaj po raz pierwszy jadł z nami kolację?"

„Naturalnie, — mnie również wydał on się ogromnie niesympatyczny."

„Żebyś wiedziała jeszcze to wszystko, co ja o nim wiem, dopiero by ci się przedstawił w prawdziwem świetle. To wielkie szczęście dla nas, że w najbliższych dniach opuszczamy dom pani Barkley, z tym człowiekiem nie chciałabym pod żadnym warunkiem pod jednym dachem mieszkać."

Dotychczas nie wspomniała Anielcia Elżutce ani słowem o natręctwie Ralfa wstydziła się po prostu przed nią, że zwróciła uwagę takiego człowieka na siebie.

Z prawdziwym gniewem poczęła jej opowiadać:

„Pomyśl sobie tylko moja droga przyjaciółko, niedawno, kiedy wracałam do domu, zauważyłam, że mi zaszedł drogę jakiś mężczyzna, który bez ustanku wpatrywał się we mnie. Wiesz przecie kochana Elżutko, że nie daję nigdy powodu mężczyźnie do wpatrywania się tak uporczywego we mnie. Naturalnie szłam dalej do domu, nie zwracając na to uwagi i nie oglądając się. Ale on prowokował mnie w taki bezczelny sposób, że musiałam spuścić oczy ze wstydu.

„Przeszłam prędko na drugą stronę ulicy, on jednak poszedł i tam za mną. Poczęłam iść prędko, on przyspieszył również kroku. Drżałam na myśl, że przemówi do mnie. Ale dopravdy byłam zdecydowana poprosić pierwszego lepszego policjanta o ochronę, gdyby się odważył na to. Na szczęście nie przyszło do tego. Ale odprowadził mnie aż do domu. Jeżeli się nie mylę, zobaczył nawet, w którą bramę weszłam."

Elza słuchała opowiadania Anielci ze zmarszczonem czołem. Czego się przedtem obawiała, to się stało. — Już dawno przyszło jej na myśl, że piękność Anielci, jej młodzieńcze, powabne kształty, prędzej albo później zwrócą uwagę jakiego mężczyzny i że wskutek tego nastąpią nieprzyjemne komplikacje.

Elżutka nie chciała, żeby jej przyjaciółka była narażona na podobne nieprzyjemności. Dlatego przeraziła się, słysząc, że Anielcia spotkała już tego pana Edwina Ralfa w Londynie.

„Posłuchaj, Anielciu," odezwała się, „to niczego dobrego nie zwiastuje, boję się, że ten człowiek tylko z powodu ciebie wprowadził się tu do tego domu."

„Co, — to uważasz za prawdopodobne?" zawołała Anielcia, „myślisz to rzeczywiście?"

„Naturalnie, nieprawdopodobieństwem to nie jest, chce widocznie koniecznie poznać się z tobą i dlatego wcisnął się tutaj. Musimy być bardzo ostrożne."

„Ja już dzisiaj zbywałam go milczeniem, kiedy zaczął ze mną rozmawiać, w przyszłości nie odezwię się wogóle do niego. Na mnie zrobił ten człowiek ze swoją przeżytą twarzą bardzo nieprzyjemne wrażenie, co więcej, czuję wstręt do niego, jego obecność przeraża mnie, to musi być jakiś zły człowiek, kiedy tak niekorzystne wrażenie robi na mnie."

„No, w każdym razie, musimy nasz zamiar przyprowadzić do skutku," odezwała się Elza po jakiejś chwili, „i opuścić Londyn jak najprędzej; nic innego nam nie pozostaje, zresztą pobyt nasz tutaj i tak daremny, nie mogliśmy przecież znaleźć tego, którego szukamy."

„Mamy doprawdy opuścić Londyn, nie dowiedziawszy się niczego pewnego o losie Kazimierza?" zawołała Anielcia, ocierając łzę z oka. „Ach, moja droga Elżutko, mnie pęknie serce przy odjeździe. Tutaj w Londynie zniknął. Tutaj zawlekli go jacyś nieprzyjaciele do zakładu dla obłąkanych doktora Morizano, który się potem spalił. Nie wiemy nawet, czy w chwili pożaru znajdował się w środku zakładu, czy opuścił go już przedtem.

„O Boże, jakaż to straszna tajemnica na każdym kroku, cóż to za przyszłość nie do pozazdroszczenia!"

Anielcia osunęła się na krzesło. Poczęła szlochać jak małe dziecko. Podsłuchujący pod ścianą tryumfował, — wreszcie znalazł nić przewodnią sposobności do zabrania znajomości, jakiej się nawet nie spodziewał. Właśnie rozmowa dwóch dziewczyn, którą podsłuchał, dała mu drogowskaz, w jaki sposób mógł wtargnąć do cudzej fortecy.

Odszedł od ściany, przez chwilę rozmyślał, poczem strzepnął ręką na znak, że powziął energiczny zamiar. — — —

Elżutka przystąpiła do Anielci, poczęła ją głaskać leciutko po jej bujnych włosach, szepcąc z troskliwością: —

„Nie płacz moja droga Anielciu. — Widzisz, ja również nieszczęśliwa jak ty. — Ja również tęsknię za tym, który jest dla mnie całym światem! Nie, nie możemy i nie śmiemy tracić nadziei. Zaufajmy w Bogu, że On w dobroci Swojej złączy nas z najukochańszemi

osobami, jeżeli w Łaskawości i Mądrości Swojej postanowił."

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi. Anielcia i Elżutka rzuciły się przestraszone.

„Kto tam?" spytała Elza, „to pani Barkley?"

Obie dziewczyny były przyzwyczajone, że tylko mister Barkley odwiedzi!a ich od czasu do czasu, naturalnie nikt inny nie odważyłby się przestąpić progu ich pokoiku.

Zaledwie Elza postawiła to pytanie, otworzyły się drzwi i do środka wstąpił zamiast pani Barkley ten, o którym właśnie mówiły.

Elżutka cofnęła się o krok wstecz. Obie ręce wyciągnęła przed siebie, jakby do obrony. Anielcia również podskoczyła ze siedzenia. Młode dziewczęta były z przestrachu jakby skamieniałe na widok tak niespodziewanego gościa, nowego mieszkańca pani Barkley.

Ralf skłonił się z uśmiechem i wszedł do pokoju, zamykając drzwi za sobą.

„Proszę bardzo o wybaczenie, moje damy, jeżeli przeszkadzam", odezwał się, „ale mnie tu wiedzie tak ważna sprawa, że wystawiam się nawet na niebezpieczeństwo być posądzonym o natręctwo, i wchodzę do pań. — Proszę się tylko nie obawiać niczego. Natychmiast przekonają się panie o moich jak najlepszych zamiarach. Prosiłbym tylko o ofiarowanie chwilki czasu i o wysłuchanie mnie."

„Mój panie!" zawołała Elza po pół minucie przestrachu i zaniemienia, „jakiem prawem wciskasz się pan do naszego pokoju? Jeżeli chcesz pan być kawalerem, powinieneś wiedzieć, że do dam, jeszcze obcych do tego, nie wchodzi się nigdy bez zameldowania się poprzedniego!"

CXCVI.

Kawaler bez honoru

„Wiem o tem i pomimo tego utrzymuję, że jestem gentlemanem", odpowiedział Ralf z uśmiechem, „ale — w pewnych warunkach jest się zmuszonym działać prędko. — Jest wiele rzeczy, które można omówić tylko w cztery oczy, moja pani, ale tylko w obecności tych, którzy są wtajemniczeni we wszystko. Dlatego omieszkałem zameldować pani Barkley, że mam zamiar rozmówić się z paniami i nie zameldowałem się wpoprzód. Jeżeli będą panie tak dobre i pozwolą mi wyłuszczyć wszystko, przekonają się panie, że sprawa, która mnie do pań sprowadziła, jest wielkiej wagi dla nich i zainteresuje je żywo. Nie wypieram się wcale, że zameldowałem się tutaj pod fałszywem nazwiskiem i wcisnąłem się naturalnie do tego domu, aby zbliżyć się do pań."

„Pod fałszywem nazwiskiem?" zawołała Elza, prostując się dumnie, „mój panie, my jesteśmy przyzwyczajone otwartem czołem spotykać się z każdym i szczerze i otwarcie postępować. Z człowiekiem, który występuje pod fałszywem nazwiskiem, nie chcemy mieć nic do czynienia."



Siła Italji: 8 miljonów żołnierzy. Na zakończenie wielkich manewrów włoskich wygłosił Mussolini z Avelino wielką mowę, że Italja potrafi — na zwykły rozkaz — wystawić 8-milionową armię. Rycina pokazuje Mussoliniego w czasie manewrów przy wypróbowywaniu nowego radjoaparatu.

„Więc panie mnie wyrzucają?"

„Słyszałeś pan, com właśnie wypowiedziała, a sądzę, że dałam dość jasno do zrozumienia," odpowiedziała Elżutka, biorąc pod rękę Anielcię i odchodząc z nią ku oknu.

„Widzi pani," zawołał Ralf Ravington, „interes pani tak mi leży na sercu, że pomimo tak energicznego rozkazu wydalenia nie daję się odstraszyć i zostanę tutaj. Zobaczą panie, że mi będą jeszcze wdzięczne za to."

„Mój panie, czy chce nas pan zmusić zawołać o pomoc?"

„Ha, jeżeli inaczej panie nie chcą, proszę wołać o pomoc! Sam nawet pani drzwi otworzę. Ale wówczas — wówczas hrabia Kazimierz Zamski nie będzie miał szczęścia oglądania pań!"

Zaledwie Ralf wymówił to nazwisko, obie dziewczyny jakby prądem elektrycznym wstrząśnięte, przystąpiły gorączkowo do nieznajomego.

Nazwisko to było najlepszym paszportem dla każdego, który chciał wtargnąć do tych dwóch młodych i osamotnionych dziewcząt, nazwisko to działało cuda, — niem zaopatrzony mężczyzna stawał się w jednej chwili pożądanym gościem.

„Hrabia Kazimierz Zamski?" zawołała Elżutka, „ach, mój panie, wspomniałeś pan właśnie nazwisko, które jest nam nadzwyczaj drogie. Pan więc przychodzisz od hrabiego Kazimierza Zamskiego? Proszę mi wybaczyć, łaskawy panie, że dopiero co byłam dumną i niedostępną i niebardzo grzecznie się z panem obeszłam. Jesteśmy ludźmi, więc często błądzimy, zresztą nie przeczuwałyśmy, że —"

„Dosyć łaskawa pani, aż za dosyć przeprosin," — przerwał jej Ralf, kłaniając się z lekka z uśmiechem, „ja sam wiele zawiniłem, bom nie wymienił zaraz tego nazwiska, które jest właściwem ogniwem pomiędzy nami. A żem go zaraz nie wymienił, stało się li tylko dlatego, że jestem pod tym względem bardzo ostrożnym. Czy nie możemy być w tym pokoju przez kogo podsłuchanymi? Nie może nas kto obserwować?"

„O nie, któżby zresztą," odpowiedziała Elza, „takich smutnych doświadczeń w domu pani Barkley nie uczyniłyśmy, tu przecież chyba niema szpiegów."

„Tego nie można nigdy wiedzieć," odpowiedział Ralf, „a niemożliwem to nie jest, bo proszę się popatrzyć, ten komin stoi w połączeniu z wieloma innymi, trzeba więc najprzód zasunąć otwór jego, zanim zaczniemy mówić."

„Pan w rzeczywistości bardzo ostrożny, mój panie," zawołała Elza, „robi pan na mnie wrażenie detektywa."

„Tym nie jestem," zapewnił Ralf, który tymczasem podszedł do otworu od komina i zapchał go krzesłem, „ale nauczyłem się wiele w szkole nieszczęść, a taka szkoła uczy najlepiej — zaostrza wszystkie zmysły i czyni niedowierzającym."

Podczas rozmowy Ralfa z Elżutką stała Anielcia jeszcze ciągle bez ruchu. Ręce założyła na piersi, jakby chciała umiarkować uderzenie serca, które na wzmiankę drogiego nazwiska poczęło silniej się szamotać. I to nazwisko słodkie nazwisko wymienił ten, który taką antypatję wzbudził w niej.

Więc to przecież było niczem nieuzasadnione uczucie, ten człowiek nie musiał być takim, jakim go sobie przedstawiła. Poczęła się sama w duchu oskarżać, że dała się porwać pierwszemu, nieuzasadnionemu uczuciu antypatji. Pomału przystąpiła do Ralfa i poczęła mówić proszącym głosem, jak małe dziecko:

„Ja również muszę pana przeprosić i czynię to szczerze obecnie i otwarcie. Zdawało mi się mianowicie, żem już pana raz spotkała na ulicy i że to pan wówczas — jakże mam powiedzieć — w wyzywający sposób wpatrywał się we mnie i prześladował mnie."

„Wcale się pani nie pomyliła w tym względzie," odpowiedział Ralf z zuchwałością, „ja rzeczywiście prześladowałem panią wówczas, ale tylko w tym celu, aby pani oznajmić to, co dzisiaj mam zamiar wyjawić.

„Chciałem już wówczas uwiadomić panią, co do hrabiego Kazimierza Zamskiego, ale pani sama udaremniła me dobre chęci. Była pani tak niedostępną i tak prędko znikła pani w bramie tego domu, że nie mogłem znaleźć sposobności urzeczywistnienia zamiaru. A rozmówić się z panią musiałem, bo miałem pani zanieść pozdrowienie tego, który ukochał panią nad swe własne życie. Cóż mi więc pozostało innego, jak wkręcić się tu do tego domu pod maską, to jest pod zmienionem nazwiskiem i wtargnąć do pań?

„Daję paniom słowo honoru, — podły arystokrata nie wzdrygnął się nawet przed fałszywem słowem honoru, — „że żadnego innego celu nie miałem na myśli, wynajmując mieszkanie w domu pani Barkley jak jedynie ten, spełnić misję powierzoną mi przez hrabiego Kazimierza Zamskiego. A teraz pytam panie powtórnie, zechcą mnie panie wysłuchać?"

„Ach, jakże pan może jeszcze pytać!“ zawołała Elza, „imię, które pan wymieniłeś, daje nam gwarancję, że wszystko to, co nam pan ma wyjawić, będzie dla nas ogromnej wagi. Ale teraz proszę nie nadużywać dłużej naszej cierpliwości i proszę nam powiedzieć wszystko. Proszę pana i zaklinam na wszystko, mów pan, — mów pan coprędzej. Przedewszystkiem proszę nam powiedzieć, czy żyje jeszcze hrabia Kazimierz Zamski?“

„Ach, żyje Kazimierz?“ odezwał się w tej samej chwili dźwięczny głos Anielci. Jeszcze nigdy nie spoczywały takie śliczne oczy, z takiem naprężeniem uwagi, z taką bezgraniczną bojaźnią na obliczu mężczyzny, jak teraz na twarzy tego podłego kłamcy i zdrajcy.

„Moje panie,“ odpowiedział Ralf po małej przerwie, „zanim rozpocznę moje zeznanie, muszę się najpierw przekonać, czym trafił pod właściwy adres.

„Dotychczas domyślałem się tylko więcej, aniżeli powiedziałem coś pewnego. Nie wiem, czy panie są temi, którym mam przynieść moje nowiny. — Proszę mi więc również zaufać i wymienić swoje nazwiska. A więc nazwisko pani, jeżeli śmiem prosić?“

„Elza Rodeń!“

„Ach, całkiem słusznie, — Elza Rodeń! Dziękuję pani! A ta panna nazywa się?“

Już chciała Elza z dumą odpowiedzieć:

„Ta dama jest hrabianką Angelą Sokolską,“ kiedy jeszcze zawczasu wpadła jej w słowa przyjaciółka i z pośpiechem wyrzekła:

„Ja nazywam się Aniela Dubois!“

Anielcia sądziła mianowicie, że Kazimierz, wymieniając przed obcym jej nazwisko, nie nazywał jej nigdy inaczej jak Anielcią Dubois.

„Dziękuję paniom,“ odezwał się po małej przerwie powtórnie Ralf Ravington, „za zaufanie, jakie panie we mnie położyły. Teraz naturalnie nie mam powodu ukrywać dalej mego nazwiska. — Jestem baronet Ralf Ravington.“

Nowe zdziwienie, bo nazwisko to nie było ani Elzie ani Anielci nieznane.

Elza wiedziała, że Ralf Ravington jest przyjacielem barona Lubszy, Anielcia znowu dowiedziała się od policji, że Ralf Ravington sekundował przy pojedynku, który wskutek zjawienia się fałszywego urzędnika policji został przerwany.

„Co, mój panie,“ zawołała Elżutka, „pan jest baronet Ralf Ravington? O, w takim razie możemy mieć rzeczywiście nadzieję dowiedzenia się czegoś o losie hrabiego Kazimierza Zamskiego, co nam dotychczas nieznanem. Pan przecież widziałeś go i rozmawiałeś z nim w ostatniej chwili przed jego tajemniczem zniknięciem. Czyż to więc prawda, że hrabia Kazimierz Zamski pojedynkował się z baronem Lubszą?“

„Rzeczywista prawda,“ odpowiedział Ralf Ravington spokojnym głosem.

„I pan byłeś sekundantem?“

„Spełniłem obowiązek, od którego nie wolno się uchylić żadnemu dobrze urodzonemu,“ brzmiała odpowiedź baroneta Ralfa Ravingtona. „Ale jeżeli mi panie pozwolą, to opowiem paniom całe wydarzenie w jasnych zwięzłych słowach. Mogę zacząć?“

Elza wskazała ręką krzesło. Obie młode damy i baronet usiedli.

„O pojedynku wiedzą więc już panie,“ rozpoczął Ralf swoje opowiadanie, „był on niestety nieunikniony. Powód do niego był już dany w Niemczech.

„Hrabia Kazimierz Zamski obraził barona Lubszę w zamku Sokolskich w tak niedwuznaczny sposób, że rewanż musiał być tylko krwią spłacony!

„Pomimo tego, że jestem przeciwnikiem pojedynków i zdaniem mojem można bardzo wiele spraw i sporów uśmierzyć na drodze pokojowej lub prawnej, w tym wypadku jednak musiałem przyzwolić na ostrzejszy środek. Musiałem baronowi Lubsza przyznać zupełną rację i podjąć się roli sekundanta, o co mnie osobiście prosił. Byłem więc zmuszony pojechać do hrabiego Zamskiego i wyzwać go w imieniu barona Lubszy. — Wyzwanie przyjął naturalnie hrabia Zamski, omówiliśmy zaraz rodzaj broni i miejsce. Zgodziliśmy się na to, że miejscem najbezpieczniejszem dla obydwu partyj byłoby, gdyby pojedynek miał się odbyć w Prusach. Zadecydowano więc, aby załatwić sprawę na terytorjum angielskim. Pewnego pięknego poranku zebraliśmy się więc o szóstej godzinie rano na oddalonym placu angielskiej stolicy.“

„Znamy już ten plac!“ przerwała Anielcia, opowiadanie baroneta, „nieprawdaż, na tym placu wznosi się zakład dla obłąkanych doktora Morizano, — ten sam budynek, który w mowie ludu nazywa się „Rattenburg!“

„Tak jest, moja panienko,“ odparł Ralf, zwracając się do Anielci. „Wybraliśmy to miejsce bardzo przezornie, wiedzieliśmy bowiem, że rzadko zabłądza tam noga jakiegoś spacerującego.“

„Ratenburg“ jest już od dawna unikanym przez ludność tutejszą. Ten zwyczaj nie odmienił się ani wówczas, kiedy doktor Morizano przemienił ten budynek na swój zakład dla obłąkanych...

„Obaj więc nasi znajomi stali naprzeciw siebie z wymierzonemi lufami pistoletów. Pierwszy strzał padł. Nagle zjawił się na placu komisarz policji i zażądał przerwania pojedynku. Co się tyczy mnie i barona Lubszy, zostaliśmy natychmiast uwolnieni, hrabiego Zamskiego tymczasowo do zakładu aresztował na miejscu, tylko nie chciał go prowadzić odrazu do więzienia. Przekonał się, że rozchodzi się o arystokratę z wpływami, więc chciał się wprzód zapewnić i działać za instrukcją przełożonych o którą miał się dopiero postarać. Dlatego zaprowadził hrabiego zamskiego tymczasowo do zakładu obłąkanych doktora Morizano.

„W tej samej chwili, kiedy hrabia Kazimierz Zamski zwrócił się w kierunku zakładu, postępując za komisarzem policji, wyszeptał po cichu, obracając się do nas:

„Moi panowie, pojedynek musi być ukończony. — Oczekuję panów kwadrans później, w tym budynku. Tam się naradzimy, jak dalej tę sprawę załatwić do końca.“

„Hrabia Kazimierz Zamski pozwolił się spokojnie odprowadzić do domu doktora Morizano. My zaś, — baron Lubsza i ja, — czekaliśmy w pobliżu zabudowania przez parę minut. Jak tylko spostrzegliśmy, że komisarz policji może po kwadransie pobytu w zakładzie opuścił tenże, prawdopodobnie udając się do miasta po dalsze szczegółowe instrukcje, — wślizgnęliśmy się do bramy. Bez wszelkich przeszkód odszukaliśmy hrabiego Kazimierza Zamskiego. Znajdywał się sam jeden w obszernej sali.“

„Przepraszam, że panu przerywam, panie baronecie,“ odezwała się Elza Rodeń z pospiechem, „czy nie widział pan przy tej sposobności doktora Morizano?“

„Widziałem go i muszę się przyznać, że człowiek ten, — o ile się już dowiedziałem, ma to być skończony typ opryszka, — nie zrobił na mnie wówczas złego wrażenia. Nie robił nam najmniejszych trudności, kiedyśmy mu powiedzieli, że musimy się rozmówić z hrabią Kazimierzem Zamskim. Przeciwnie był bardzo grzeczny i sam wskazał nam pokój, w którym znajdował się hrabia.“

„Jak panowie zobaczyli się z hrabią Kazimierzem, nie miał jeszcze żadnej rany?“ badała Elza Rodeń, „czy w zakładzie tego doktora Morizano nie spotkało go żadne skaleczenie?“

„Ależ nie!“ zapewnił Ralf Ravington, „hrabia przystąpił do nas zdrowy i spokojny. Oznajmił nam, że domaga się koniecznie ukończenia przerwanego pojedynku, zarazem doniósł nam, że przyobiecał komisarzowi policji pod słowem honoru, że nie opuści tego pokoju w którym został ulokowany, dopóki tenże nie powróci z Londynu — Zaproponował więc nam sam, aby pojedynek rozegrał się dalej w pokoju, w którym przebywał.“

Elza Rodeń razem z Anielcią zadziwiła się ogromnie przy tych słowach baroneta, okazując jawnie swoje zdumienie.

„Co?“ zawołała Elza „pojedynek w zamkniętym pokoju? Ależ panie baronecie, to chyba niemożliwe!“

„Dlaczego niemożliwe?“ odpowiedział Ralf Ravington ze spokojem, „gdzie się rozchodzi o honor, każda sposobność obmycia zmazy z niego wydaje się być dogodną i dobrą. Baron Lubsza zgodził się dlatego natychmiast na dokończenie sprawy honorowej. — W paru minutach sta'i znowu przeciwnicy z podniesioną bronią naprzeciw siebie.“

„Jak się skończył ten pojedynek?“ spytała Anielcia z drżeniem w głosie, rzucając na baroneta pytające spojrzenie.

„Niestety bardzo smutnie dla hrabiego Zamskiego,“ odpowiedział Ralf Ravington z udaną żałością i miną hipokryty, — „kula barona Lubszy, — proszę się nie przerażać, moje panie, mogę panie zaraz teraz zapewnić na uspokojenie, że Kazimierz Zamski żyje jeszcze, — kula barona Lubszy trafiła hrabiego w środek piersi. Zalany krwią padł nieszczęsny młody człowiek z jękiem na ziemię.“

„A więc zraniony, do tego ciężko zraniony!“ wykrzyknęła Anielcia ze łzami w oczach, „ach, mój Boże, ja przeczuwałam, że go coś strasznego musiało spotkać, skoro przepadł tak bez wieści nagle.“

„Ale on żyje jeszcze!“ odezwała się Elżutka z przerażeniem, ożywiając się w ostatniej chwili, „nieprawdaż, panie baronecie, może nam pan baronet zaręczyć słowem honoru, że hrabia żyje jeszcze, że nie umarł wskutek ciężkiej rany?“

Ralf Ravington położył rękę na piersiach, opowiadając:

„Moje panie, proszę być pod tym względem zupełnie spokojnymi. Hrabia Kazimierz żyje i ma się lepiej. Pierwsze niebezpieczeństwo przeminęło. Życzy sobie ogromnie widzieć się z panią, panno Anielciu Dubois.“

„Co?“ zawołała Anielcia, „on wie, że ja jestem w Londynie? O, mój Boże, proszę mi powiedzieć wszystko! Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób dowiedział się Kazimierz, że ja się tutaj znajduję? O Elżutko, jakżem szczęśliwa, że Kazimierz żyje. Chce mnie widzieć, on jest w Londynie. Nieprawdaż, panie, hrabia znajduje się obecnie tutaj w Londynie?“

Na to pytanie, postawione wibrującym głosem od wzruszenia, odparł nędzny kłamca w następujący sposób:

„Jeżeli pani, panno Dubois, jeszcze chwilę cierpliwości mieć będzie, wysłuchać spokojnie dalszych losów hrabiego Kazimierza Zamskiego, to dowie się pani o wszystkiem, co się od owego ranka wydarzyło. — Powiedziałem już paniom, że hrabia zalany krwią upadł na podłogę. Z przerażeniem przypadłem do niego i obsłuchałem go, niestety musiałem się przekonać, że rana była ciężka i niebezpieczna. Baron Lubsza mierzył aż za dobrze. Ranny wyglądał tak, jakby kula drasnęła serce i zmusiła je do zaprzestania dalszej czynności. Blady jak chustka, z zamkniętemi oczyma leżał bez znaku życia, — do trupa jak do żyjącego podobny.“

Anielcia schowała główkę na piersi swojej przyjaciółki, która z macierzyńską miłością obu ramionami ją podtrzymywała. Dała znak baronetowi oczami, by nie kreślił tych rzeczy tak jaskrawemi farbami. Ale w charakterze baroneta zjednoczyła się z otchłanią zepsucia i zła, jeszcze do tego spora doza ordynarnej złośliwości. Cieszył się, że może targać sercami obojga słuchających dziewcząt, dlatego bez żenady ciągnął dalej:

„W pierwszej chwili myśleliśmy, że hrabia skonał. Baron Lubsza wypadł z pokoju, wołając doktora Morizano. Wołany zjawił się natychmiast, truchlejąc na widok tego, co się stało w pokoju jego budynku. Szedł właśnie do nas, gdyż usłyszał wystrzał, ale był pewny, że przypadkiem wystrzeliła broń któregoś z nas. To było prawdziwem szczęściem dla nas, żeśmy pojedynku dokończyli w pokoju doktora Morizano, w ten sposób bowiem mieliśmy lekarza tuż pod ręką. Doktor Morizano opukał i obsłuchał zranionego bardzo troskliwie, poczem, zwracając się do nas, odezwał się:

„Ten nieszczęsny skończy w kilka godzin. Krew rozlała się na wewnątrz, więc niema ratunku. Może być, że i w kilka minut umrze, ale może jeszcze pożyć i do wieczora.“

„Poprosiłem doktora Morizano, żeby zatrzymał ciężko rannego u siebie, ale on nie chciał nawet o tem słyszeć.

„Nie może się pan na mnie gniewać“, odrzekł stanowczo, „że tak krótko i węzłowato odrzucam pańską prośbę. Nie śmie się nikt dowiedzieć, że tutaj w moim pokoju odbył się krwawy pojedynek, inaczej odebrałaby mi policja pozwolenie prowadzenia dalej tego zakładu, co byłoby połączonem z zupełną moją ruiną finansową.“

„Ze swojego punktu widzenia miał rację Morizano, — ale co mieliśmy robić z biednym hrabią, dokąd miałem go kazać przenieść? Do szpitala? To byłoby dla rannego hańbą, wiemy przecież, jak się w szpitalu obchodzą z ciężko rannymi, zwłaszcza takimi, którzy nie dają gwarancji dłuższego życia. Nie, — nie, — w szpitalu byłby zgubionym, a mnie się rozchodziło o to, aby młode, uciekające życie arystokraty zatrzymać sztuką lekarską. Wprawdzie przed chwilą byłem właściwie jego przeciwnikiem, ale jako człowiek honoru nie mogłem mu przecież pozwolić skonać na gołych deskach. Nie długo się namyślając, postanowiłem kazać przenieść pacjenta do mego domu.

„Ale i ten transport“, ciągnął dalej bezczelny kłamca, „musiał się odbyć nadzwyczaj tajemniczo, bo zależało mi na tem, aby się policja nie dowiedziała o dalszym ciągu pojedynku. To by mnie mogło wepchnąć choćby nawet na krótki czas do więzienia, — naturalnie baronowi Lubszy zaszkodziłoby to jeszcze więcej. Zaczekaliśmy więc aż do wieczora i dopiero przy zmroku przenieśliśmy rannego do mego domu. Przez furtkę ogrodową wnieśliśmy słabego do jednego pokoju i położyliśmy go na miękko wysłanem łóżku. Natychmiast posłałem po mojego domowego lekarza. Rozpoczęło się kilka smutnych tygodni, podczas których życie hrabiego Kazimierza Zamskiego wisiało na włosku. Udało się wprawdzie lekarzowi wyciągnąć kulę, ale szlachetniejsze organa były naruszone. Trzeba było całej sztuki lekarskiej, aby życie, które lada chwila uciec chciało, uratować. Wreszcie kryzys przeszedł, nastąpiła zmiana na lepsze i dzisiaj, — cieszy mnie to niewymownie, że mogę to paniom oznajmić, — dzisiaj stoję przed paniami i proszę obie panie.“ — Ravington położył nacisk na to słowo „obie“, — „proszę w imieniu hrabiego Kazimierza Zamskiego, by panie odwiedziły mój dom i zadosyćuczyniły serdecznemu życzeniu pożałowania godnego pacjenta, który chce się z paniami widzieć.“

(Dalszy ciąg w następnym numerze.)

4)

Jak pisać

kie — ke

W wyrazach zapożyczonych piszemy kie, np.: bankier, lakier, rakieta; w mniej przyswojonych ke, np.: dżokej, hokej, jankes, kefir, kelner, kepi, keson, poker, spiker.

gie — ge

W wyrazach zapożyczonych piszemy zasadniczo ge, np.: agent, algebra, ewangelia, Genewa, gest, legenda, sugestia, tragedia, dalej wszystkie zapożyczenia grecko-łacińskie, zaczynające się na gen —, geo —, np.: genealogia, geneza, geografia, geologia, geometria.

W nielicznych tylko zapożyczeniach pisze się gie, mianowicie:

1. w rzeczownikach pospolitych, zakończonych w mianowniku na —giel, —gier, —gierz, np.: magiel, blagier, pręgierz oraz w pochodnych;
2. w wyrazach: algierka (rodzaj płaszcza, Algerka, Algerczyk), Angielka, Archangielsk, ceregiele, giermek, jurgielt, megiera i pochodnych;
3. w nazwach własnych pochodzenia litewskiego, jak: Jagiełło, Olgierd.

chi — chy

W wyrazach obcych piszemy tylko chi—, np.: chimera. W wyrazach rodzimych piszemy stale chy—, np.: chytry, chyży, (wyjątek chichot, chichotać).

W bezokoliczniku przed zakończeniem —wać piszemy tylko —chi—, np.: podsłuchiwać.

sch — sz

Litery sch należy pisać i wymawiać jak s+ch w wyrazach: schemat, scholastyk, Eschyl, schizma (można wyjątkowo: szyzma).

Spółgłoski pojedyńcze i podwójne

W wyrazach zapożyczonych zachowujemy podwójne spółgłoski tylko tam, gdzie się je powszechnie wymawia, np.: Budda, mokka, Mekka, bulla, willa, stella, immanentny, innowacja, Madonna, irracjonalny, terror, lasso, netto, brutto — ale: aluzja, iluzja, ilustracja, imigracja, korekta, pesymizm, asymilacja, Tesalja.

W odmianie rzeczowników, których temat kończy się na podwójną spółgłoskę (np.: Mekka, mokka, motto, netto, Budda) w miejscowniku liczby pojedyńczej zmieniamy drugą spółgłoskę, pozostawiając pierwszą bez zmiany, a więc: w Mekce, mokce, motcie, netcie, Buddzie.

W nazwiskach:

tt zmienia się w ć, np.: Walter Scocie

łł zmienia się w ll, np.: Jagielle.

Piszemy: szklanny (obok szklany, która to forma jest prawidłowa) nadto blaszany, gliniany, owsiany.

HUMOR

Na filmie egzotycznym

W kinie demonstrują film egzotyczny, w którym występuje wiele najrozmaitszych zwierząt. Rozmówka:

— Panie Kalapsik, czy pan jest przyjacielem zwierząt?

— Oczywiście.

— A jakie zwierzę lubi pan najbardziej?

— Zająca z buraczkami!

Ząb za ząb

— Dziwię się, że pan, tak inteligentny człowiek może tak źle licytować.

— A ja się dziwię, że pan, tak doskonale licytujący, może zadawać tak nieinteligentne pytania.

Coś z botaniki

Mały Pawełek jest z tatusiem na przechadzce i na ogrodzeniu jednej z will podmiejskich zwracają uwagę jego pnące się gałęzie dzikiego wina. Zaintrygowany chłopczyk pyta:

— Tatusiu, co to za roślina, co tak rośnie na murze?

— To dzikie wino, synku.

— Tatusiu, a jest także dzika wódka?

W ogrodzie zoologicznym

Mały Henio idzie z ojcem do ogrodu zoologicznego, gdzie po raz pierwszy w życiu widzi zebrę.

— Tatusiu, patrz! — woła — tam w tej klatce stoi osioł w kostjumie kąpielowym.

Wygadał się

W sklepie futer klientka targuje skórę tygrysią i po dowiedzeniu się ceny, zauważa:

— Półtora tysiąca złotych, toż to szalona cena za skórę tygrysią!...

— Ależ, pani dobrodziejko, proszę się tylko zastanowić, jak jest niebezpieczne polowanie na tygrysa i jak trudno jest te pręgi na futrze zabarwić w sposób tak łudząco naturalny.

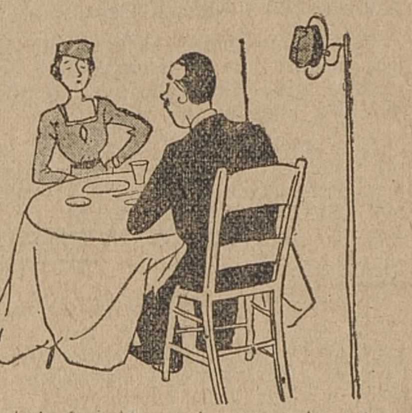
Trudne życzenie

W parku koło pomnika siedzi na ławce niańka, a przed nią w wózku siedzi większe już dziecko i drze się w niebogłosy. Jakiś przechodzień, starszy pan, oburzony, że niańka spokojnie siedzi i nie zwraca uwagi na krzyk dziecka, powiada:

— Jak pani może pozwolić tak długo krzyczeć dziecku? Dlaczego pani mu nie da tego, czego ono chce?

— Kiedy, proszę pana, to bardzo trudno; ono chce, żeby mu dać ten pomnik.

Ostrożność



— Słuchaj, Jerzyku, czyś napisał już ojcu o naszych zamiarach.

— Tak, kochanie!

— Czyś prosił go o moją rękę?

— Tak, złotko!

— Wiesz, boję się jego odpowiedzi — on ciebie tak nie znosi. Pozatem on tak szybko wpada w szał...

— Nie bój się, kochanie. Nic się nie stanie! Ja naumyślnie się nie podpisałem!

Biurowy zegar

— Chciałbym jakiś zegar do biura! — powiada klient do kupca

— To najlepszy byłby budzik!

Przyszły kupiec

Morycek winszuje stale wujaszkowi z powodu urodzin i otrzymuje przytem 5 złotych. Pewnego razu po złożeniu życzeń malec powiadu:

— Wujaszku, może mogę ci powinszować odrazu i za rok przyszły? Oddam ci oba powinszowania za osiem złotych.

Niemożliwe

— Przyjdzie czas, że radjo zastąpi w zupełności gazety...

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Spróbuj pan coś zawinąć w radjo!

Mądry zegarek

Do zegarmistrza przychodzi klient i mówi:

— Mój zegarek spóźniał się o pół godziny na dobę. Dałem go panu do reperacji i teraz śpieszy się na dobę o pół godziny!

— W porządku! odpowiada zegarmistrz. — Przecie on musi odrobić stracony czas!

W szpitalu wojskowym

Lekarz przychodzi rano i pyta dyżurnego:

— Jakże tam dzisiaj chorzy?

— Melduję posłusznie, że chorzy wszyscy mają się bardzo dobrze, tylko jeden symulant umarł nad ranem.

Wziął się na sposób

Figlasiński kupił nowe auto i na pierwszą przejażdżkę zaprosił swego przyjaciela.

Wsiadają. Figlasiński puszcza motor w ruch Maszyna zrywa się odrazu jak pies ze smyczy i pędzi z zawrotną szybkością.

Przyjaciel, przytrzymując kapelusz oburącz, zwraca uwagę:

— Świetne auto...

— Mylisz się — prostuje Figlasiński — to stary grat...

— To dlaczego tak pędzi?

— Bo ja nie jestem frajer: — wysmarowałem koła olejem rycynowym...

Konsekwencja

Pan Wicuś promieniejący idzie ulicą i spotyka przyjaciela:

— Stasiu, przyjacielu... Muszę ci to pierwszemu powiedzieć — kocham i jestem kochany. Jestem taki szczęśliwy, że muszę zrobić jakieś szaleństwo!

— To cię i tak nie ominie — przecież się żenisz!

Uczciwość

— Czy Adolf jest uczciwym człowiekiem?...

— Oczywiście... A dlaczego pan pyta?...

— Bo stara się on o moją córkę. Nie wiem właśnie, czy dać mu ją za żonę...

— Może mu ją pan śmiało dać... On ją napewno panu zwróci...

Punkt widzenia

Proszę pana — mówi nauczyciel do ojca jednego z uczniów, podczas wywiadówki — pański syn jest coraz słabszy w geografji.

— Nie martwię się tem zbytnio, panie profesorze — i tak nie mamy pieniędzy, ażeby wyruszać w jakąś dalszą podróż.

Oburzony

W jednyym z teatrów wystawiono komedję pewnego młodego autora. Sztuka nie miała jednak powodzenia.

Pewnego dnia do gabinetu dyrektora teatru wpada autor i woła podniesionym głosem:

— Panie dyrektorze, to skandal! Pan mnie wyraźnie szykanuje. Wystawia pan moją sztukę wtedy, kiedy teatr jest prawie zupełnie pusty.



— Czy to wszystko ?— pyta szofer gościa, wyjeżdżającego w podróż z pokaźnym ekwipunkiem.

— Tak!

— Całe szczęście, bo myślałem, że magistrat doda panu jeszcze pomnik Kopernika.

Wszystko jest względne

Rzecz dzieje się w górach, w których para małżeńska odbywa wycieczkę narciarską i wspomina przechadzki w tych okolicach z pierwszych lat małżeństwa.

— Pamiętasz mój drogi, gdyśmy dziesięć lat temu tędy przechodzili — czy ta dolina nie wydawała ci się trochę szersza?

— Być może kochanie, a może to ty, byłaś wówczas szczuplejsza!

Dobrze zrozumiał

— Mój Boże, cóż ja nieszczęsna teraz zrobię? — mówi do pana Mętnickiego jeżo żona, załamując ręce — Zosia połknęła zapałki...

— No, możesz przecież wziąć moją zapalniczkę.

Zły zięć

— Oj, nie mam kumo, pociechy ze swego zięcia. W ciągu dwóch miesięcy zjadł cały posag.

— A dużo daliście kumo za córkę?

— Dwie świnie i 12 kur.

Votum nieufności

On: — Nasza nowa kucharka jest doskonała. Jedzenie dzisiaj było wspaniałe.

Ona: — Ależ, ja jej także pomagałam!

On: — Tak, ale mimo to.

Myśliwy

Pan Nicefor opowiada swoim przyjaciołom o zdarzeniu, jakie mu się przytrafiło na ostatnim polowaniu.

— Opowiem wam teraz, jak mi się udało kopnięciem nogi zabić dzika, który mnie zaatakował.

— Lepiej daj spokój podobnym bajkom — przerywa mu — jesteś bardzo miły i umiesz zajmująco opowiadać, ale musisz wybaczyć, że takim historyjkom nie uwierzymy.

— Więc dobrze, ale może temu uwierzycie, że dzień przedtem, na tem samem miejscu, jednym strzałem z flinty ubiłem dwa króliki.

— Tak, to co innego, w to prędzej uwierzymy.

— A jednak — odrzekł pan Nicefor — to także nie jest prawdą.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.